

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Literatura oblężnicza. Pamiętniki Juliana Claretie, Edgarda Quineta. Oblężenie Paryża: Wrażenia i wspomnienia Franciszka Sarcey. Początek wojny. Optymizm. Klęski. Nowe Delfy! *Kłamie jak Palikao*. Grom Sedanu. Przygotowania. Zaimprovizowane pastewniki. Opera olbrzymim spichlerzem. Stan wałów i fortów. *Trzeba nam być tu! Franc-filleury*. Statua Strasburga: wieńca. Nowe klany Galskie: Bretony, Burgundy, Szampany i t. d. Ludność okoliczna. Dramata domowe. Alexander Flan wodewilista. Pożar lasów. Paryż zupełnie odejściy. Widmo głodu. Przepisy rządowe na wypadek bombardowania. General Trochu. Poddanie się Toul i Strasburga. Gambetta. Kapitalacya Metz. Pokój w postaci świni. Ceny żywności. Zwierzyna z grodu aklimatacyjnego. Jątka psów, kotów i szczurów. Dzieci. *Fermier pokojowy*. Widowiska. Koncerta popularne. *Andante z la* Bethovena. Poranki literackie. Konferencye. Siostry miłosierdzia w teatrze. *Chatiments*. Satyry Wiktora Hugo. Delikatność uczucia Paryżan. Mała liczba klubów. Balony. Gołębie. Wieści z prowineyi. Wiersz Manuela. Boże Narodzenie. Nowy Rok. Coraz nowe plagi. Śmiertelność. Szpitale. Towarzystwo ambulansów. Prassy. Ofiary. Kobiety. Towarzystwo siostr Francyi. Bomby w mieście. Ogród botaniczny. Ostatnie kamelie. Ryszard Wallace. Nowe Waterloo pod murami Paryża. *Consumatum est*.—Poemacik Franciszka Coppée. List ochotnika bretońskiego.—Odpowiedź korespondenta na uwagi p. A. E. Odyńca dotyczące Mickiewicza i Ewuni.

Literatura oblężonego grodu, liczącego z górą dwa miliony ludności, oderwanej od świata w ciągu pięciu miesięcy; grodu, który nie poddał się, dopóki nie spożył ostatniego prawie kęsa chleba: literatura takiego grodu, zasłuży na szczególną uwagę przyszłych ekonomistów, psychologów, strategików i historyków. Pięciomiesięczne osamotnienie Paryża, da nowy kierunek dziejowemu życiu nie samej tylko Francyi, ale i wszystkich ludów, które zostawały od dawna pod jej wpływem. My ograniczymy się tylko na krótkim sprawozdaniu z publikacyj dokonanych w tym czasie.

Głównym charakterem literatury oblężonego Paryża, jest ścisły obrachunek z sumieniem własnym. Naród niedawno jeszcze

tak wielomówny, nagle rażony nadzwyczajną a niespodziewaną klęską, zastanawia się, rozważa, szuka sam w sobie przyczyn złego, powołuje na sąd nietylko pojedyncze osoby, ale setki lat, w których wyrabiały się instytucje społeczne i polityczne.

Zaczynamy od pamiętników, te bowiem dają nam żywy i wierny obraz tych wielkich wstrząśnień duchowych jakie przeżyła ludność paryżka, pod wpływem najboleśniejszych wypadków. Z tego wydziału mamy przed sobą kilka ważnych publikacji: *Paryż obleżony*, *Obrazy i wspomnienia* Juliusza Claretie; *Obleżenie Paryża i obrona narodowa* Edgarda Quineta; na koniec *Obleżenie Paryża*, *Wrażenia i wspomnienia* Franciszka Sarcey. Dziełko Quineta, ważne z wielu względów, ma więcej charakter historyczno-polityczny niż literacki; Claretie spisuje kronikę swoją z dnia na dzień; praca jego, o której powiemy innym razem, ważnym jest źródłem dla historii tych nieszczęśliwych czasów. Dziś zatrzymamy uwagę na pamiętnikach Sarceya. Pisarz ten pełen życia i werwy, znany z literackich konferencyj i z feuilletonów Gaullois'a, opowiada wiernie wrażenia, jakie przez sto czterdzieści dni wstrząsały duszą wielkiego grodu. Nieodrodny syn Paryża, bierze on udział we wszystkich tych wrażeniach; biegły znawca sere ludzkich, czyta w nich jakby w otwartej księdze, a czyta tём łatwiej, że w chwilach wielkich nieszczęść, narody równie jak jednostki, ukazują z całą prawdą, tak wady i słabości, jak niemniej cnoty swoje.

Oo zaś szczególniej uderza nas w Sarceyu, to nadzwyczajne umiarkowanie w sądach. Nie usprawiedliwia on złego, powstaje nawet silnie przeciw niemu, rzuca nieraz gorzką prawdę w oczy ziomkom, lecz rzuca ją bez nienawiści, bez szyderstwa. Za to z jaką miłością, podnosi wszelką dodatnią stronę; jakże mocno uderza jego serce na widok tych bohaterskich wysiłen, jakimi unieśmiertelnił się Paryż!

Życie wielkiego grodu, w ciągu pięciomiesięcznego obleżenia ujęte w jeden obraz, nie może być obojętnem dla czytelników naszych. Powtórzymy ten obraz za Sarceyem, redukując go do małych rozmiarów w sposób w jaki zredukowano za pomocą fotografii, owe sławne depesze przyczepiane do skrzydełek gołębich. Aby odczytać te depesze, potrzeba było lupy; niechajże słuszne współczucie ku nieszczęśliwym ofiarom obleżenia, stanie się podobną lupą, a mówiąc innemi słowy, niech czytelnik dośpiewa w duszy to, czego my, stosując się do ram prostej kroniki, wypowiedzieć nie możemy z taką jakbyśmy chcieli dokładnością.

Autor zaczyna rzecz od początku, to jest od 19 lipca, od daty wypowiedzenia wojny.

Francya nie pragnęła tej wojny; ale gdy rękawica rzuconą została, żyłka rycerska zadrzała nagle w sercach. Francuzi lubią wieniec wawrzynu, a tyle ich zebrali! miałożby teraz nie dopisać im szczególne? Ogoł wierzył silnie w wyższość militarną Francyi. „Nasza niezwyciężona armia! nasi dzielni żołnierze! nasi mężni

generałowie afrykańscy!" powtarzano z wiarą i zaufaniem. Woń prochu ozionęła cały Paryż!

Niektórzy wprawdzie zachowali zimną krew wśród ogólnego uniesienia. Obliczywszy ściśle zasoby dwóch państw, chodzili w pośród tłumów z czołem zasępionem, bolejąc nad lekkomyślnością tych, którzy w takich warunkach wypowiedzieli wojnę. Nikt jednak nie śmiał na głos objawić zdania tak sprzecznego z ogólnym prądem. Lud byłby ich ukamienował jak fałszywych proroków! a przecież nie byli to sceptycy, nie byli to owe szkielety bez serca, bez ducha, których nasz wieszcz skreślił tak obrazowo, w swęj nieśmiertelnęj odzie! Byli to ludzie dobrze świadomi rzeczy; znali niesłychany bezład panujący w złe żywionem, złe uzbrojonem wojsku; znali grasującą w niem bezkarność, i brak wiary w wodzów, którzy ze swęj strony nie zasługiwali na zaufanie.

Zagrzmiały pierwsze działa. Wieść o wielkiem zwycięztwie rozległa się po Paryżu. Niesłychany szal opanował umysły i serca. Jakże bolesnem było rozczarowanie! gdy zamiast spodziewanych tryumfów, sygnęły się gradem pogłoski o krwawych klęskach pod Wissenburgiem, Woerth, Freischwiller i Reishoffen, o zniesieniu armii Mac-Mahona. Pękła żelazna obręcz; powódź niemiecka jak rozrukany potok zalewała Francją!

Miałaby ten potok osiągnąć bram paryżkich? Niepodobna! Paryż, to miasto święte, stolica cywilizacyi, tajemnicze palladium ludzkości!.. Dotknąć go byłoby świętokradztwem!.. Puścić z pozogą nowe Delfy? któżby się pokusił o sławę nowego Herostrata?

Tak rozumowali Paryżanie. Optymiści z natury, nieprzyzwyczajeni do bolesnych prób, i smutnych doświadczeń, chwyтали skwapliwie każdy, choćby chwilowy błysk nadziei, zamykali oczy na coraz widoczniejsze niebezpieczeństwo. Wszystko utrzymywało ich w złudzeniu. Z jednéj strony, dzienniki powtarzały chórem, że aby opasać Paryż, potrzeba półtora miliona ludzi! z drugiejj strony minister wojny, aby nie trwożyć umysłów, rozsiewał nie stworzone wieści o zwycięztwach, każdą zaś klęskę — a było ich tyle — pokrywał zasłoną tajemnicy. Imię tego ministra stało się dziś przysłowiem: *klamie jak Palikao* — mówi Paryż. Wówczas jednak Paryż wierzył chętnie tym kłamstwom, dopóki grom Sedanu nie wytrzeźwił go z marzeń i nie stawił w obec nowego stanu rzeczy.

Posłuchajmy co mówi naoczny świadek, o tych chwilach gwałtownego przewrotu:

"Gdybym miał żyć tysiąc lat, nie zapomnę nigdy wrażeń tego dnia pamiętnego. Wczoraj wieczorem Paryż dowiedział się o najstraszniejszej klęsce jaka kiedykolwiek dotknęła lud; widmo obłężenia stanęło mu groźnie przed oczyma. Paryżanie jakby przybici maczugą do ziemi, pokładli się do snu z najwyższą rozpaczą. Nazajutrz była niedziela, dzień świąteczny dla ludności paryżkiejj. Jesienne słońce pogodnie zaświeciło, żadna chmurka

nie émiła jasnego błękitu. I czarne widziadła nocne, rozwiały się jak czarem. Fala ludu zalała bulwary, radość wróciła na oblicza, serca uderzyły nadzieją. Nagle rozległ się okrzyk: Niech żyje Rzeczpospolita! miliony ust powtórzyło: niech żyje!

Czwarty września otworzył dla Francyi nową drogę. Po dwudniowém upojeniu Paryż zabrał się gorliwie do pracy, a była to praca nie lada: nigdy jeszcze дума narodowa nie przeszła przez tak ciężką próbę; cały szereg dziejów nie przedstawiał obrazu takiej hańby, jaka spadła na naród z kapitulacją Sedanu. Serca zakipsiały szaloną zemstą; krew tylko mogła obmyć zniewagę z oblicza upokorzonej Francyi!

I oto nagle, jakby za dotknięciem różeczki czarodzieja, ogrody paryzkie, lasek Buloński, Luksemburg napelniają się bydłem, owcami, nawet nierogacizną. Na tych jedwabnych kobiercach trawy, deptanych niedawno stopkami paryżanek, istnie jak na puszczy madiarskiej, wypasa się swobodnie krocie owiec, tysiące wołów i trzody chlewniej. Świeżo zaciągnięci garde-mobile, dobrze świadomi rzeczy, pełnią obowiązki juhasów, guliasów i kanaszków. Nowy to widok dla Paryża. Tłum ludu odwiedza codziennie, te zaimprovizowane pastewniki; przygląda się tym niezliczonym trzodom a widząc ich tyle a tyle, nie pomyśli nawet, że owe zasoby mogą się kiedykolwiek wyczerpać. Paryżanie bawili się tym widokiem, ale ktokolwiek widział kiedy bydło na łące, lub owce na rżysku, ten ze smutkiem patrzył na biedne bydła, skubiące leniwie sztuczną trawę, powłóczące załośnię okiem po tym, tak obcym dla nich świecie.

Z niemniejszą otuchą przyglądano się zaimprovizowanym spichlerzom paryzkim. Wszystkie niemal puste gmachy, na ten cel obrócono. Niepodobna by ich naliczyć. Przed innemi trzyma tu miejsce ogromy gmach nowej opery. To spichlerz nad spichlerze. Dziwném zrządzeniem losu, świątynia sztuk pięknych, przeznaczona muzyce i płasom, nagle w olbrzymią przemieniona spiżarnię.

Architekt Garnier, dumny z dokonanej budowy, czekał tylko chwili, aby zdjąć ostatnie rusztowania, i błysnąć w oczy światu arcydziełem sztuki nowoczesnej. Ale nie czas Garnierowi spoczywać na wieńcach z wawrzynu. Z godną podziwienią energią zabiera się do pracy. Do rozległych piwnic sprowadza wodę z wiozyn Montmartre, na wypadek gdyby nieprzyjaciół miał zniszczyć wodociągi zasilające miasto. Cały dół zamienia w arsenał; napelnia kulami i bombami rozmaitego kalibru. Sale przeznaczone na składy dekoracyj, zawala worami mąki i stosami kartofli; inne beczkami wina. W salach wyższego piętra urządza loteryę i wystawę miliona fantów, na korzyść biednych rodzin. Wyższe jeszcze zamienia w skład odzieży dla wojska. W jedném skrzydle zaprowadza wojskową piekarnię, w drugiem kuchnię ekonomiczną, w pośrodku ambulans dla rannych; na wierzchołku zaś przyrząd elektryczny, przeznaczony do dawania sygnałów.

Cały gmach ze złota i marmuru, oddycha tylko wojną!

Podczas gdy Garnier spełnia tytaniczną pracę, inżynierowie krzątają się koło wałów. Tu, potrzebaby w rzeczy samej Herkulesowej ręki, aby odpowiedzieć potrzebom. Siły ludzkie nie starczą na to. Paryżkie wały najeżone dziewięćdziesięciu czterema bastyonami, zakreślają koło trzydziestu sześciu kilometrów obwodu! Szesnaście fortów osłania je w odstępach. Trzydzięści lat temu kiedy murowano te wały, te bastiony i te forty, świat nie znał dalekonośnych dział Kruppa, obrona byłaby wtedy dostateczną. Zmieniły się czasy i rzeczy. Gdyby przynajmniej fortyfikacje opatrzone były jak potrzeba; niestety! brakło w nich wszystkiego, i armat, i prochu, i kul, nawet artylerzystów! Generał Palikao nie śmiał w opatrzeniu ich rozwinąć całej energii, *przez delikatność, aby nie zatrwożyć Paryża!*

Paryż nie trwożył się też zrazu, nie pojmował całego ogromu wiszącej nad nim klęski. Zdobywanie Paryża, powtarzamy, wydało się w oczach wszystkich, tak potworném świętokradztwem, takim zamachem na wszelkie Bożkie i ludzkie prawa, że nikt nie przypuszczał na seryo podobnej ostateczności. Przeczucie jednak silniejsze od rozumowania, ostrzegało, że się zbliża dzień katastrofy. Burza wrzała w powietrzu. Wypadało czuwać, aby w daną chwilę stawić jej godnie czoło. Zwykle w wielkich wypadkach, krąży między ludźmi jakieś słowo, streszczające w sobie uczucia wszystkich, jednoczące myśli i serca. *Trzeba nam być tu!* powtarzali Paryżanie: to słowo stało się jakby hasłem!

Rząd obrony narodowej nalegał o wydalenie z Paryża tak zwanych *gęb nieużytecznych*, inaczej mówiąc *darmozjadów*. Wówczas to zamożniejsi obywatele miasta, przez posłuszeństwo władzom jak nie mniej dla bezpieczeństwa, jeśli wywozi zony i dzieci, to do miast nadmorskich, to do południowej Francji. Wszyscy jednak umieściwszy rodzinę wracali do Paryża, lubo żaden osobisty interes niepociągał tu owych adwokatów, przemysłowców i artystów, mimo że wielu z nich nie wiedziało jak się obchodzić z karabinem. *Trzeba nam tu być!* powtarzali wszyscy jednomyślnie, i bez litości szydzili z nielicznej garstki nieobecnych, zowiąc ich *franc-fileurami*, *wolnemi zbiegami Sekwany*.

Głos opinii tak był silny w tym względzie, że Emil Girardin gdy wyjeżdżał na prowincję, tłumaczył się odezwą po dziennikach, że mając lat pięćdziesiąt pięć, i wzrok nadzwyczaj osłabiony, więcejby przyniósł szkody niż pożytku dla Paryża, gdy tymczasem z daleka lepiej mu służyć może. Odezwa ta nie rozbroiła złośliwych. Odpowiedziano na nią gradem żartów i szyderych pocisków.

„Była to—mówi Sarcey—chwila powszechnego skupienia w duchu. Ta chwila czyni najwyższy zaszczyt Paryżowi. Ludność paryżka tak próżna, tak zamiłowana w zbytkach i zabawach, przemienia się nagle, odradza! Postanawia bądź co bądź wytrwać do ostatka, trzymać się dzielnie, znosić wszelkie choćby naj-

cięższe ofiary! Nikt wówczas nie myślał o blokadzie, obawiano się raczej szturm. Smutna perspektywa przedstawiała się ludziom nie obeznanym z bronią; nikt się jednak nie cofnął. *Trzeba nam być tu!* powtarzali wszyscy jak jeden!

Bohaterska obrona Strasburga podnosiła umysły. Co dnia kompanie gwardyi narodowej z kwiatami na bagnietach, prezentowały broń przed statuą Strasburga na *Placu Zgody*, i wienczyły w kwiaty jej podnóże. Było to miejsce powszechnego zebrania, jakoby rzymskie forum. Tu Paryżanin czerpał siłę, do spełnienia wielkiej powinności.

Potrzeba tu było krzepić ducha, aby nie upadł, na widok rozbitków sedańskich wracających w najopłakawszym stanie, a rozsiewających pomiędzy ludem popłoch i demoralizacyą. Żołnierz francuzki nieustraszony gdy idzie naprzód, traci głowę w odwrocie; klęska zabija w nim energią. Poznał Paryż jak trudno liczyć na tych obrońców.

Zwołano marynarzy. Obsadzono niemi wszystkie forty. Otucha wstąpiła w serca na widok tych dzielnych wiarusów, w ceratowych kapeluszach i błękitnym kaftanie, ogorzałych od słońca, zaprawionych na wszelkie trudy.

Z czterech stron Francyi ścigały co dzień szeregi gwardyi ruchomej. Bretonowie przybyli pierwsi, na wezwanie Bretona Trochu. Z ciekawością przyglądali się Paryżanie tym braciom, z których żaden nie umiał po francuzku! Ich długie rozwiane na wiatr włosy przypominały starych Gallów. W rysach twarzy znać było poetyczną zadumę, obok niepospolitej energii.

Po Bretonach przyszli Burgundy, z krasnem licem i zuchowatą miną, pełni ognia, jakby w ich żyłach płynęła krew napół zmieszana z winem.

Ścigały też liczne oddziały Szampanów, Beryszonów, Franc-Comtów, i innych których naliczyć trudno. Przypomniały się czasy, kiedy Klany Galskie rozrzucone na ogromnej przestrzeni, biegły gromadnie z najdalszych krańców ziemi swojej na głos Wercyngetoryxa toczącego rozpaczliwą walkę z Cezarem.

Jak dziewiętnaście wieków temu tak i dziś, Gallowie pełni zapału i ducha ofiary, widzą się w obec legionów, potężnych liczbą, organizacyą i bezprzykładnem dotąd uzbrojeniem! Azaliż te massy ochotników podołają tej sile, przeciw której nie ostali się pogromcy Magenty i Solferino?

Wszyscy porywają za oręż, ale sam zapał nie wystarcza. Dziś więcej niż kiedykolwiek, potrzeba nauki wojskowej. Niestety! w Paryżu zabrakło instruktorów. Nieprzyjacieli podstąpi pod Paryż wprzód nim te dzikarskie tłumy zmieniają się w regularne wojsko.

Przygotowania do obrony postępowały spiesźnie. Zaczęto burzyć jedną po drugiej te śliczne wioski opasujące Paryż zielonym wieniec. Serce ścisnęło się na widok owych białych domków, zmienionych w mgnieniu oka w kupy rumowisk. Lud

z płaczem opuszczał gniazda swoje. Tysiące wózków zwoziło do Paryża nieszczęśliwe rodziny z całym dobytkiem, ze sprzętami, ze wszystkim cokolwiek ocalić się dało. Niektórzy potracili głowy, ociągali się do ostatka. Ileżto bolesnych dramatów! Z pomiędzy wielu przytoczymy tu jeden.

Alexander Flau ulubiony autor wesołych wodewilów, kupił w Neuilly maleńki dworek, za grosz uczciwie zapracowany. W ciągu długich lat, zebrał on z mozolem znaczną bibliotekę, złożoną wyłącznie z dzieł teatralnych. Była to jedyna kolekcya w swoim rodzaju, bogate źródło dla historii sztuki dramatycznej, nad którą Flau pracował. Dnia jednego inżynierowie zakolatali do drzwi domu.

— Wynos się pan czempredżej— rzekli stanowczo.

— Kiedy?— zawołał przerażony.

— Dzisiaj jeszcze. Oto robotnicy czekają z młotem w ręku.

— Jakto? dziś! Tydzień nie starczy na przeniesienie moich książek!

— Co nam do książek, jutro dom zburzony być musi do szczytu. Alboż nie było ostrzeżenia?

Ostrzeżenie było w rzeczy samej. Flau nie dowierzał mu.... ociągał się z dnia na dzień.

Nieszczęśliwy nie odrzekł słowa. Z workiem podróżnym w ręku szedł i szedł gdzie go oczy poniosły. Zażądał kącika w pierwszym lepszym hotelu. Położył się spać. Nazajutrz znaleziono w łóżku trupa! Serce pękło mu pod naciskiem boleści.

Zapalono wszystkie okoliczne lasy, zaczawszy od lasu Bułonskiego. Tłumy ludu biegly na wzgórze Montmartre, z kądem wzrok ogarnia szeroka przestrzeń. Wicher roznosił czarne kłęby dymu, gdzieniedzie buchał płomień, ale drzewa okryte liśćmi, pełne krążących jeszcze soków, nie chciały płonąć w żaden sposób; powypalane tylko szczytby świadczą dotąd o nieszczęściach Paryża.

Nieprzyjaciół tymczasem zbliża się wolnym ale stanowczym krokiem. Jak ów smok bajeczny wydobywa z siebie coraz więcej a więcej ramion, rozciąga je coraz szerzej a szerzej, aż nakoniec opasuje niemi cały gród. Paryż czuje się w kleszczach nieprzebranego olbrzyma!

Dziewiętnastego września, dzienniki ogłosiły przerażającą wiadomość: „Ostatnie drogi żelazne łączące Paryż z Francją i Europą przecięte od wczoraj. Paryż zostawiony sam sobie!”

Ludność paryżka nie straciła głowy, nie upadła na duchu, w obec strasznej rzeczywistości: „Paryż trzymać się będzie! Paryż nie może, nie powinien ustąpić!” powtarzano stanowczo.

Po tylu gwałtownych wstrząśnieniach jakie przeżyła już stolica, czekały ją stokroć gwałtowniejsze i dotkliwsze. Favre jak wiadomo udał się do obozu nieprzyjacielskiego, z oświadczeniem że naród francuski nie wydawał Niemcom wojny, że owszem, pra-

gnie żyć z niemi w zgodzie. Za powrotem do Paryża, ogłosił pamiętny manifest, w którym nieobwijając w bawelną rzecz, powtórzył pogardliwe wyrazy upojonego tryumfem nieprzyjaciela. Odebrana zniewaga wydobyła z serc nowe siły, przygotowała je do bohaterskich ofiar.

Paryż zmienia się nagle w wielkie obozowisko. Młodzi i starce wpisują się na gwałt w szeregi gwardyi narodowej, chwytają za oręż z pogodnym uśmiechem na ustach. Krzepka wesołość umysłu, ta droga spuszcizna po starych Gallach, nie opuszcza Paryżan w obec niebezpieczeństw i trudów. Gwardziści zajmują posterunki na ulicach, inni spieszą na wały; patrole przebiegają nocą wzdłuż i w szereg całe miasto. Rzecz dziwna! nigdy ludność paryżka, nie zachowywała się tak spokojnie jak w czasach oblężenia; morderstwa i kradzieże prawie się nie zdarzały!

Do charakterystyki czasu należy zaciętość gwardzistów w ściganiu mniemanych szpiegów nieprzyjacielskich. Tysiące bajek krążyło z ust do ust, tysiące ich powtarzały dzienniki. Łada światelko migocące w dymniku poddasza, brano za jakiś tajemny sygnał. Pod wuałem nie jednej idącej ulicą kobiety, jeśli przypadkiem wzrost jej przechodził zwykłą miarę, dopatrywano ślad ogolonych wąsów. Biedni Alzatzcy z niemieckim swym akcentem, narazeni byli na codzienne indagacye. Wielu z nich nie śmiało rzec słowa na ulicy.

Ale co najdotkliwiej dawało się czuć Paryżanom w pierwszych dniach oblężenia, to brak wiadomości zewnętrznych. Nikt nie spodziewał się zupełnego odcięcia. Sama nawet poczta dzieliła błąd powszechny. Na dzień przed blokadą, urząd pocztowy powysyłał w różne strony kuryerów w mniemaniu że się zdołają przedrzeć z powrotem przez nieprzyjacielskie linie: żaden z nich nie powrócił. Paryż połączony ze światem tysiącem węzłów, nie odbierał ani depeszy, ani dziennika, ani prostego listu. I czemuże był Paryż od tej chwili? Olbrzymiem więzieniem!

Wielkie było zdumienie, wielkie upokorzenie Paryżanów. Miłość ich własna cierpiała w najdotkliwszy sposób. Ten Paryż, uważany przez nich za główną sprężynę myśli ludzkiej, główny motor który wprowadzał w ruch całą machinę świata, wielkie ognisko co z łona swego rozsiewało promienie na wszystkie krańce ziemi, ten Paryż odcięty od świata, a świat przecież nie ustał w zwykłym biegu. Miałżeby Paryż nie być w istocie sercem ludzkości? pytali zdziwieni Paryżanie, kiedy ludzkość może wyżyć bez niego? Ważne to pytanie w życiu dziejowem całej Francyi!

Takie odosobnienie zbliżało do siebie ludzi, jak to bywa między więźniami. Serca biły goręcej; uczucia rodzinne silniej niż kiedy domagały się praw swoich. Przytacza Sarcéy rzewną scenę:

„Dnia jednego—mówi—jadłem obiad w restauracyi, w towarzystwie trzech Paryżanów, którzy lubili się zwykle przechwalać z wielkiego sceptycyzmu. Udawaliśmy wszyscy wesołość,

choć jęj w sercu nie było. Żartowaliśmy sobie z lichego obiadu, który nosił już wyraźne ślady obłęzenia. O kilka kroków od nas, przy osobnym stoliku, siedział starzec z siwym włosom, a naprzeciwko niego młoda kobieta zapewne córka, z trzyletnim chłopczykiem przy boku. Ładny to był blondynek, z krętemi włoskami i rumianą twarzyczką, wesoly i szczebiotliwy. Sposzregł na naszym stole gruszkę i poczał oós szeptać do matki. Łatwo było zgadnąć o co idzie. Jeden z towarzyszóv moich rozkroił gruszkę, zbliżył się do młodej kobiety, przeprosił ją za śmiałość i dał chłopczykowi część owocu, przyczem ucałował go serdecznie. Gdy powrócił do stołu naszego, miał oczy pełne łez; daremnie usiłował je ukryć. Łzy te oddziały na nas mimowoli. Wszyscy czterej z oczyma wlepionemi w talerz, płakaliśmy jak dzieci!”

Widok chłopca przypomniął biednym sceptykom własne rodziny, które powysyłali daleko w głąb’ Francyi!

Nie upłynął jeszcze miesiąc obłęzenia, a żywność podrożała w dwójnasób. Rząd zalecił mieszkańcom zaopatrzenie się na dwa miesiące we wszelkie do życia potrzeby. Mało kto jednak brał na seryo to ostrzeżenie. Przezorniejsze i zamożniejsze gospodynie opatrywały się na wszelki wypadek w wędlinę, ser, konfitury, cukier i t. p., ale jak mówiliśmy już, ogół oczekiwał raczej szturm anizeli blokady.

Kiedy jednakże nieprzyjaciół poczał okopywać się na stanowiskach, widmo głodu lubo zdaleka jeszcze, zajrzało w oczy Paryżanom. Całe miasto rzuciło się do kupna, kto mógł jął gromadzić zapasy. Kupcy korzystali z tego ogólnego popędu; żywność drożała z każdym dniem. Niezliczone tłumy kobiet oblegały sklepy korzenne i stragany.

Rzecz niepojęta! w miarę jak żywność drożała, tēm silniej żółdki domagały się praw swoich. Nigdy jak mówią, Paryż nie był tak żarłoczny jak w pierwszych czasach obłęzenia. Dawniej z wyjątkiem nielicznych smakoszóv, większość jadła aby żyć, nieprzebierając w pokarmach; śniadanie zwłaszcza brwało rzeczą małej wagi: ser i chleb, a co najwięcej parę jaj, odpowiadało potrzebom. Nagle objawia się dziwna zmiana: każdy łaknie bifszyku lub pieczeni!

„Trudno wypowiedzieć — mówi Sarcéy — z jaką chciwością, przechodząc kolo wielkich składóv, pożeraliśmy okiem te ułożone symetrycznie szynki i salcesony, owe piramidy blaszanych puszek z sardynkami, ba! nawet śledzie w beczkach, które dawniej mijałiśmy ze wstrętem i pogardą!”

To fizyologiczne zjawisko, które autor stawia jako zagadkę, łatwo według nas wytłumaczyć, najprzód skierowaniem myśli na przedmiot, powtórę dziwną jakąś przekorą, która sprawia, że pragniemy usilniej tego co nam trudno przychodzi; nakoniec odmiennym porządkiem w życiu. Sarcéy gwardzista narodowy, który dwa dni w tygodniu przechadzał się z karabinem na wałach, mu-

siał czuć większą potrzebę posiłku, niż Sarcey feuilletonista, trawiający dni całe w redakcyi *Gaullois*.

Końskie mięso wystąpiło na widownię w zastępstwie wołowiny. Zrazu prosty lud okazywał ku niemu wielki wstręt, gdy przeciwnie zamożniejsi, łatwiej się z niem oswoili. Potrzeba jednak przełamała wkrótce przesąd ludu.

Przepisy rządowe rozlepiane po ulicach zapowiadały bombardowanie. Zalecano właścicielom domów a nawet lokatorom, aby mieli pod bokiem beczki pełne wody na wypadek pożaru. Ostrzegano aby ktokolwiek posłyszysz zdaleka świst bomby rzucał się twarzą na ziemię. Ruch powstał niesłychany. Szacowne zbiorzy z muzeów, obrazy z galeryj, przenoszono do piwnic; okna bibliotek zasłanianio workami z ziemią. Instytut francuzki protestował przed sądem Europy ucywilizowanej, przeciwko możliwemu zniszczeniu tylu wiekopomnych dzieł geniuszu ludzkiego. *Times* angielski tymczasem zwał na Paryż całą winę. „Pocóż mu gotować się do obrony? czemu upierać się na próżno.” Rozmowania te doprowadzały ludność do wściekłości. Nikt nie wiedział jakim sposobem numeru dzienników urągające powszechnemu nieszczęściu, wciskały się same do miasta!

Paryżanie krzątali się około zabezpieczenia domów i mieszkań, urządzali sobie schronienia po piwnicach. Zawiązywali towarzystwa przeciw szkodom zrządzonym przez bomby. Niektórzy przygotowawszy w domu kilka łóżek dla rannych, wywieszali między-narodową chorągiew z krzyżem, w naiwném złudzeniu, że artylerzyści nieprzyjacielscy, strzelając o kilkanaście kilometrów uszanują godło konwencyi genewskiej.

Główną osobą na którą zwrócili się oczy wszystkich, był w Paryżu generał Trochu. „Nieodrodny Breton—mówi Sarcey—należy on do tych upartych synów Finisteru, którzy wbrew przysłowiu: *nie przebić muru głową*, nie uznają nigdy trudności gdy idzie o dopięcie przedsięwziętego celu. Nie wiem czy poeisci dzienników i krzyki wzburzonej publiczności, obchodziły głównego dowódcę, ale to wiem, że z cicha, powoli, bez hałasu wykonywał ciężkie prace około fortyfikacyi, prace, którym później oddano słusność.”

W ręku generała Trochu, Paryż stał się w rzeczy samej nie zdobytym, ale i nieprzyjaciele mieli także Moltkego. To też oficer jeden niemiecki rzekł raz do francuzkiego lekarza, podczas ambulansowych posług: „Jezeli nam niepodobna wniknąć do Paryża, to i wy nie potraficie przebić naszych linii!”

Te prace wykonywane z wytrwałością i mozolem, te, że tak powiemy, podziemne kretowiska, nie były w oczy, nie działały na wyobraźnię. Ogół ich nie rozumiał; oskarżeni zaś bronić się nie mogli od zarzutów. Zmuszeni dopiero naciskiem opinii, inżynierowie rozjaśnili rzecz w październiku, wykazując, że nazajutrz po klęsce wielkiej armii nadreńskiej, warownia Paryża nie miała ani uzbrojenia, ani kazamat, ani nawet dostatecznych prochowni;

że żaden z fortów nie był w stanie obronnym. Raport inżynierów zaspokoił umysły.

Odtąd przynajmniej ustala obawa szturm! Barykady przestały być potrzebne. *Bohaterski ulicznik*, jak Michelet nazwał Rocheforta, został tylko przy tytule honorowym *naczelnika barykad*.

Trochu był dla Paryżan cokolwiek za naiwny, zanadto Breton. Żartowano też z niego bez litości, dogryzano mu raz poraż to karykaturą, to złośliwą piosenką. Paryż do coraz większej przychodził drażliwości, co wyrozumieć łatwo. Małe, bezskuteczne wycieczki wzmagaly jeszcze tę drażliwość. Z każdym dniem znikało zaufanie w dowódcach. A jakaż dopiero boleść ogarnęła Paryż, na wieść o zdobyciu Toul i Strasburga! Wieść o tych klęskach przyszła z obozu nieprzyjacielskiego, na trzy dni przed dopełnieniem faktu.

Poddanie się dwóch fortec głęboko zasmuciło Paryżanów, lecz nie odebrało im odwagi; rzecz bowiem była przewidzianą, iż bez odsieczy muszą się w końcu poddać. Jedną głównie myśl przejmowała dreszczem cały Paryż: a gdyby też prowincja nie chciała mu przyjść w pomoc? Wiadome były odwieczne niesnaski między stolicą a miastami prowincjonalnemi, niesnaski zrodzone z indywidualizmu cechującego silnie plemiona Gallów, a krępowanego ideą centralistyczną, którą od kilku wieków posługiwał się cezaryzm, uosobiony mianowicie w Ludwiku XIV i obu Napoleonach. Paryż tak niedawno pyszny z supremacji swojej, zajrzał w głąb sumienia własnego, uderzył się w piersi ze skruchością, zawołał *mea culpa!* To uznanie czyni nam najwyższy zaszczyt, otwiera bowiem Francji nowe drogi na przyszłość.

„O! jakżeśmy głęboko uczuli wtenczas — mówi Sarcey — kłamstwo zawarte w słowach: Paryż to Francya! Nie zaprawdę... Paryż nie jest Francją! Paryż bez Francji niczem nie jest. Z jakąż niecierpliwością pytaliśmy co dnia, ażali Francya powstaje!”

Niestety! Francya nie powstawała. Podkopywana intrygami stronnictw wahała się co czynić. Starey rządzący w Tours, nie mieli dość energii aby rozbudzić ją do życia. Na to trzeba było Gambetty. Młody orzeł szamocze się w olbrzymiej klatce, rozwija wreszcie skrzydła; wylata z obłożonego grodu. On pierwszy łączy Paryż z Francją. Chwila jego odlotu jakże wielką, jak uroczystą dla Paryża; miliony serc towarzyszy mu, wspierając go, dodaje mu odwagi. Przelatuje obóz nieprzyjacielski, słyszy pod stopami tysiące strzałów, w około niego nieskończoność! Stawa wreszcie na ziemi nie zdeptanej stopą nieprzyjaciela. Francya wita go z zapałem, zdumiona bohaterską jego odwagą. Wierzy mu, bo jakże nie wierzyć temu, kto życie oddał na ofiarę? I oto porusza się cała, i z łona swego wydaje zastępy gotowe również do poświęceń. Ale niestety poświęcenie, jeśli wystarcza do okupienia narodu z hańby, nie wystarcza do pokonania silnie uorganizowanych wojsk, wspartych całym zasobem nauk i wynalazków.

Paryżanie radzi ze wieść o ich wojennych przygotowaniach rozbiegnie się po kraju i powoła naród do oręża, głównie jednak liczyli na 100,000 starój armii, zamkniętej w Metz; przekonani byli że Bazaine skruszy żelazny łańcuch ściskający go wkoło. Kiedy ta nadzieja ożywia wszystkie serca, kiedy wyobrażnia widzi już jej urzeczywistnienie, nagle poczynają krążyć przerażające poszepty o kapitulacyi niezdobytej warowni. Te poszepty zamieniają się w pewność! Grom to był tórn straszniejszy, że niespodziewany. Chybiła nadzieja odsieczy, a co gorsza nowe zastępy, wzmocnią i tak już olbrzymie siły nieprzyjaciela pod Paryżem.

A oto z drugiej strony rozbiega się nagle wieść o zawieszeniu broni i układach w skutek działań Thiersa. Wieść ta manifestuje się w szczególny i bardzo charakterystyczny sposób. Przytoczmy słowa Sarceya.

„Oddawna już sklepy z wędliną zupełnie były opróżnione. W oknach nie było żadnej wystawy. Aż tu nagle na wiadomość o możliwém armistycyum, wychodzą na jaw szynki, pasy słoniny, salcesony, serdele, kielbasy i t. p., zachowane po piwnicach w nadziei lepszego ich spieniężenia przy wzrastającym głodzie. Ludność stawiała tłumnie pod oknami, przyglądając się dawno niewidzianym przysmakom. Pojawiła się z tego powodu karykatura z podpisem: „*Le cochon c'est la paix.*”

Pora żartów nie długo trwała; prowincya nie przychodzi w odsiecz: Paryż zagrożony wojną domową! Straszna to hydra, wynik błędów dwuwiekowej polityki wewnętrznej, groźnie podnosi głowę. Organizuje się Komuna na przedmieściach. Komuna! wyraz ten krwawemi głoskami zapisany w dziejach rewolucyi francuzkiej!... Ale opinia publiczna podpira silnie rząd; o tę jedność rozбивa się zamach. Głównia przytłona miała później tórn gwałtowniejszym wybuchnąć pożarem!

Główném hasłem Komuny była decentralizacya. Zasada decentralizacyi znajdowała obrońców w najznakomitszych myślicielach francuzkich, od czasu kiedy Paryż a raczej Wersal zaczął pogardzać parlamentami, i innemi instytucyami prowincjonalnemi, które były tórn szanowniejsze, że składały się na nie prace wieków, że odpowiadały potrzebom geograficznym. Wielki przewrót społeczny r. 1789, poszedł w kierunku cezaryzmu wersalskiego, a czasowa potrzeba obrony kraju, przeciw sprzymierzonej Europie, uprawniała same nawet gwałty, popełnione w imię jedności. Ale właśnie i za czasów Ludwika XIV-go, i obu Napoleonów, umysły wyższe ubolewały nad następstwami tego anormalnego ześrodkowania władzy. Jak silne były objawy w kierunku przeciwnym, my sami nieraz wskazywaliśmy w naszych sprawozdaniach, o ile to wchodziło w zakres nauki i literatury.

Sprawa tak gorąco podjęta przez rewolucyonistów podczas obłożenia, zajmowała w tymże czasie i najpoważniejszych myślicieli. Okażemy to później.

Ciężkie były dla Paryża chwile oczekiwania i niepewności, zwłaszcza przy tak gorączkowym roznamiętnieniu umysłów, i nieszczęśliwych wycieczkach. Zrozumieli wszyscy jak twarde były kleszcze ogarniające Paryż; przekonali się, że podczas gdy załoga paryżka uczyła się bronią władzę i formować w szyki wojskowe, stara armia pruska organizowana od lat pięćdziesięciu siedmiu nie traciła też czasu na próżno. Naprzeciwko fortów paryżskich najeżyła w szanice okoliczne wyżyny. Wiedział Trochu, że sam zapal nie wystarczy na skruszenie tego olbrzymiego łańcucha!

Wieści z prowincyi nie nadchodzą, a tu plagi sypią się nawalem, a każda z tych plag straszna! Ciemno, chłodno, zimno, choroby spadają gradem na biedną ludność nieprzywykłą do braku i niewygód. Serca łakną wiadomości od rodzin... Biedny Paryż!...

Drożyzna wzrasta z każdym dniem. Mięso otaksowane, cena dosyć jeszcze przystępna, lecz coraz o nie trudniej. Administracya już przeznacza na każdego, po 30 gramów dziennie (ósmą część funta!) i komuż to wystarczy. Kura kosztuje franków 15, gęś 30, indyk 50, królik 14, funt szynki franków 8. Ryby rzeczne dochodzą bajecznej ceny, średni karp sprzedaje się fr. 20, śledź solony 2 franki, o jarzynach prawie nie słychać, kwarta fasoli wypada na 5 franków, tyleż garniec kartofli. Funt solonego masła, bez którego żadna kuchnia obejść się nie może, kosztuje franków 7; świeże dwa razy droższe; jajko wynosi franka. Siera nie dojrzę nikt na oczy, owoce znikły z handlu.

W opale takż sama trudność. Za 100 funtowy worek węgli płacą po franków 25.

Drożyzna ta ciężka dla całego Paryża, najbardziej jednak dotknęła mieszczan średniej zamożności, kapitalistów żyjących z nie wielkiego procentu, urzędników na 1,000 lub 2,000 franków, pomniejszych przemysłowców, rękodzielników i t. p. Dla wielu robota całkiem się zatrzymała. Zbyt dumni aby wyciągać rękę, żyli w ostatniej nędzy.

Sarcey w ogólności nie skory do sypania pochwał, z głęboką czecią mówi o cichém poświęceniu tych ludzi, którym jedyną osłoda była myśl, że spełniają powinność. Powtarzamy własne jego słowa: „Nigdy skarga nie wybiegła z ich ust. Z najwyższą rezygnacyą, z bohaterstwem prawie znosili niedostatek, pokrywając go głęboką tajemnicą. Przykład jednych oddziaływał na drugich. Nie rzewniejszego, nie godniejszego podziwu, nad męską prostotę, z jaką ten dzielny lud (to rzec można serce ludności paryżkiej), postanowił znosić klęski wzrastające z dniem każdym. Kobiety okazały większą jeszcze moc duszy i wytrwałość od mężczyzn. One to ponosiły cały ciężar gospodarstwa domowego; one wyczekiwały długie godziny u drzwi rzeźników i piekarzy; one gotowały ubogi obiad, obdzielały dziatwę kęssem odjętym od ust własnych; one słodkim uśmiechem ożywiały progi domowe, a ciepłym sercem, zastępowały poniekąd wygasłe ognisko. O! nasze przeza-

cne Francuzki! ileżto skarbów poświęcenia i miłości wydobędziesz z ich serc, jeżeli umiesz poruszyć je w godny sposób. Zgubna zaraza zbytku rozbudzona przez ostatnie lat dwadzieścia, czepiła się tylko wierzchnich warstw społecznych, naród pozostał krzepki: dał tego dowody w tych dniach klęsk i poświęceń."

Życie zamożnych nie było na tak ciężkie wystawioném próby, wszyscy jednak silnie byli dotknięci. Handel zupełnie ustał; burzę zamknięto; papiery publiczne pospadały, domy nie przynosiły dochodu właścicielom: słowem wszyscy czuli się mniej więcej zrujnowani.

Wielcy restauratorowie pozamykali swoje zakłady: średni i pomniejsi wytrwali do ostatka. Dzięki ich zabiegłości, życie za domem lubo drogie, mniej przecież kosztowało niżli w domu. „Mielśmy sposobność—mówi Sarcey—zakosztować tam najdziwniejszych, nieznanych dawniej potraw. Nie mówię już o mule i osie, tych mięso wielki miało odbył jako w rzeczy samej bardzo smaczne, lepsze od wołowiny. Ale ileż tam spożyliśmy fantastycznych zwierząt z ogrodu aklimatacyjnego! Zakosztowaliśmy po kolei niedźwiedzia, antylopy, kangurów, Yaka, strusia i Bóg wie czego jeszcze. Była osobna jatką zwana angielską, gdzie sprzedawano tę ekscentryczną zwierzynę, po cenach niemniej ekscentrycznych. Jadłem antylopę po 18 fr. funt, i mogę ręczyć że nierównie smaczniejszy królik duszony w winie. W przeciwieństwie z tą arystokratyczną jatką były inne, w których zabijano psy, koty i szczury. Rzecz dziwna, zamożniejsi zjadali te zwierzęta nie z potrzeby, lecz z prostej fantazyi dla zwalczenia przesądu."

Najmniej ze wszystkich stosunkowo ucierpeli ubodzy, ci prawdziwie ubodzy żyjący wyłącznie z jałmużny publicznej. Nigdy miłosierdzie nie spełniało takich cudów, jak w tych czasach ogólnej nędzy. Ponieważ liczba biednych wzrastała z dniem każdym, obejmując i takich, którzy nie zwykli byli zbierać, miłosierdzie nasuwało tysiące delikatnych sposobów wsparcia. Rozdawano hojnie bony na chleb, mięso, ryż, wino, węgiel, aby zaś uszanować godność ubóstwa, urządzono municypalne sklepy i tanie garkuchnie, w których sprzedawano żywność za bezcen, lub też dawano ją darmo okazicielom bonów. Tłum ludu oblegał te zakłady. Zamożne opiekunki, rozdzielały w nich same zupę i mięsiwo. Takie zetknięcie bogatych z ubogimi oddziaływało zbawiennie na obie strony. Drogocenny to posiew: przyszłość zbierze z niego owoce.

Mimo tych cudów miłosierdzia, drobna dziatwa ucierpiała wiele w tych czasach. Matki napół głodne nie miały dość pokarmu. Lubo rząd zabrał w rekwizycyą wszystkie dojne krowy, mimo że zamożniejsi rzekli się dobrowolnie kawy ze śmietanką, ilość mleka nie wystarczała na potrzebę. Co więcej, gospodynie zmuszone wyczekiwać na kolej w jatkach i tanich garkuchniach, nie miały czasu na troskliwe pielęgnowanie biednych dzieci; pa-

dały też jak muchy. Młoda, jedna wyrobnica, zmuszona czekać trzy godziny przed kantiną, powróciwszy do domu znalazła w kołysce skrzeplę od zimna dziecko; próżno usiłowała ogrzać je technieniem własnem: nie wróciła mu życia. Wiele było podobnych wypadków; a przecież te biedne wyrobnice, mówi Sarcey, „nigdy się nie załżyły, wytrwałość ich w obec najsroźszej nędzy, godna zaprawdę uwielbienia.”

Nieszczęście spajało serce silnym węzłem. Nigdy Paryż nie był uboższy, nigdy nie dawał więcej; nigdy nie zbliżył się bardziej do tego ideału braterstwa, do którego biedna ludzkość podąża tak mozolnie!

Chmary okolicznych wieśniaków schroniły się, jak wiadomo, do miasta. Trzeba było pomieścić przybyszów. Wielu z nich polokowano w opuszczonych apartamentach; wielu podjęli właściciele domów, oddając im nie zajęte mieszkania.

Łatwo pojąć w co się obracały wytworne gniazda Paryżanek, wydalonych jako nieużyteczne gęby, gdy się w nich rozgospodarował fermier z żoną, dziećmi i całym ruchomym dobytkiem. Dowiej który nie opuszczał Paryżanów wśród najdotkliwszych prób, znalazł w tém bogate źródło do żartów i śmiesznych obrazków. Wymyślono bajeczkę, w której mieści się nie mała częśćka prawdy.

Gościnny właściciel oddał całe piętro zamożnemu fermierowi. W kilkanaście dni potem, odzwiertny idzie do pana zamieszkałego w innym domu; opowiada mu że lokatorowie skarżą się na nieznośną won rozchodzącą się po schodach i po sieni.

Nazajutrz z rana właściciel pośpiesza tam na zwiady. Wchodzi w bramę, słyszy koguta piejącego z balkonu; chmara kur odpowiada głośnem gdakaniem.

Zdziwiony wstępuje na wschody: kołaczki we drzwi... na próżno, fermier go nie wpuszcza. Po długich zatargach wchodzi wreszcie do przedpokoju, zavalonego słomą i sianem. Jadalny pokój przemieniony w części na królikarnię, w części na skład kapusty i kartofli. Cebula i czosnek rozwieszono w festony po ścianach. W sypialnym pokoju stoi wielka balia napełniona wodą, w której pluskają kaczki.

Właściciel milczy obliczając szkody w ciszy ducha; fermier stąpa przy nim z miną tryumfującą; jakby mówił:—A co? wszak umiałem spożytkować każdy kącik!

— A mój salon— spyta właściciel.

— Tam siedzi mój *pan*— odrzeczcie wieśniak tajemniczo.

I otwiera drzwi. W kącie na barlogu rozpościera się wypasły wieprz olbrzymich rozmiarów.

Właściciel oniemiał na ten widok.—Człowieku co tobie w głowie!—zawołał po chwili—był ci sadowić *twojego pana* w salonie, kiedyś mógł zbudować mu chlew w podwórzu i pomieścić z nim razem twoje kury i kaczki.

— Ba!—rzecze fermier—tylko patrzeć, nadejdzie wiosna, a gdzieżbym ja zasiał mój jęczmień?

Taką to powieść o *fermierze pokojowym*, wymyślił Paryż w swojej biedzie. Dzienniki przerabiała ją każdy na swój sposób. Tradycja ta przejdzie do potomności, jako jedna z pamiątek oblężenia.

Ze zbliżającą się zimą, dzienniki żywo poruszyły pytanie co do teatrów. W pierwszych czasach blokady ustały widowiska: szło o to czy je otworzyć lub nie? Jedni twierdzili że teatr nie odpowiada żalobie powszechnej, drudzy znów utrzymywali że Paryżanie potrzebują widowisk, że wesołość podnosi w nich siłę moralną, że można zresztą wybierać sztuki poważne, zgodne z ogólnem usposobieniem, a co najważniejsza, że otwarciem teatrów poda się chleb w rękę wielu rodzinom przywiedzionym do nędzy.

Po długich sporach skończyło się na tém, że niektóre teatra otworzone zostały. Chęć zabawy była w takich chwilach uszlachetniona dobrym celem. Widowiska dawano, to na korzyść rannych, to na kupno armaty lub mitralieusy. Pierwszy Padeloup otworzył koncerta popularne 23 października. Książdz Duguesnai wystąpił z mową, która złagodziła skrupuły. Kiedy orkiestra zagrała sławną symfonię z la Bethowena, gdy przyszło do *andante*, okrzyk boleści wyrwał się ze wszystkich serc, łzy wytrysnęły z wszystkich oczu; nigdy może arcydzieło mistrza nie oddziało w tak cudowny, w tak uroczysty sposób. Serca obecnych uderzyły do taktu, mówi naczynny świadek.

Dyrektor opery dawał co niedziela wieczory muzykalne. Tu oprócz arcydzieł muzyki symfonicznej, orkiestra wykonywała uwertury i nstępy z najslawniejszych oper. Publiczność tłumnie uczęszczała na te wieczory. Wkrótce potem *Teatr francuzki* urządził poranki literackie. Otworzył je p. *Légonve*, członek akademii konferencyą o pokarmie moralnym w czasie oblężenia Paryża. Widowiska te szczegolny miały charakter. Wyobraźmy sobie salę półowieconą, kobiety w codziennej odzieży, scenę bez dekoracyi, artystów w rolach Greków i Rzymian, bez tuniki lub tog; bez koturnów lecz w nieklassycznym paletocie i butach z obcasami. Urywki z dawnych arcydzieł przeplatane były zwykłe okolicznościowym wierszem mlodych poetów: Bergereta, Deifusa, Manuela, Banvilla, Coppego. Wiersz ten objaśniający uczucia powszechne, wypowiedziany przez znakomitego artystę jak Coquelin, lub artystkę jak panna Agar, poruszał do żywego wszystkie serca.

W obszernej łoży przy scenie, łoży niegdyś cesarskiej, zajmowali miejsca ranni rekonwalescenci, pielęgowani w salach teatru. Oczy wszystkich zwracały się ku nim z miłością. Te wybladłe oblicza, te ręce na temblakach, te głowy obwiązane chustką białą, słowem te żywe objawy krwawego dramatu, w którym ogół brał czynny udział, więcej zajmowały niż najslynniejsze arcydzieła dramatyczne. Sztuka bladła w obec rzeczywistości.

Teofil Gautier wybornie opisał w odcinku „Monitora” *odwiedziny rannych w Teatrze francuskim* w dniu reprezentacji.

„Idąc—mówi on—kurytarzem, między sceną a foyer, spotkaliśmy dwie zakonnice, dwie Siostry miłosierdzia.

— Gdzież siostra Magdalena?—pytała jedna drugą.

— W teatrze Palais Royal—odrzekła z całą prostotą zagadniona.

„W chwili gdy przechodziły, ukazał się w kurytarzu od strony sceny, Bazyli w długiej sukni czarnej i wielkim kapeluszu, jakiego używają dotąd księża hiszpańscy. Na widok sióstr, przytulił się do muru i pokłonił z najgłębszém poszanowaniem. Grano w tym dniu akt z *Malżeństwa Figara*. Dziwny zbieg wypadków! iluz to potrzeba było wstrząśnień, aby Bazyli Beaumarchaise spotkał prawdziwą Siostrę miłosierdzia, w korytarzach *Komedyi francuskiej*? Przyszła nam na myśl piosneczka Berengera: *Aktorka i Siostra miłosierdzia*, alez tu rzeczywistość wymowniejszą była nad wymysł poetyczny, spotkanie bowiem miało miejsce na ziemi, nie po za światem jak w piosence.

„Nie miłszego, nie przyzwoitszego—ciągnie dalej Gautier—nad stosunki aktorek z zakonnicami. Artystki teatru francuskiego, wybornie w ogólności wychowane, mają dla Sióstr miłosierdzia najwyższą cześć; umieją ocenić ich świętobliwość, ich ofiarę. Za powrotem zbłądziliśmy w korytarzach, pozagradzanych w wielu miejscach między ambulansem a sceną. Zmuszeni byliśmy spytać o drogę siostry, a ta najuprzejmiej poprowadziła nas do drzwi wychodzących na teatr. Dziennikarz zbłąkany w labiryncie *Teatru francuskiego* znajdujący drogę, dzięki pobożnej Siostrze miłosierdzia, nie nazwałże tego dziwném znamieniem czasu?”

Inne znamiona, ważniejsze jeszcze według nas, świadczą wymownie jak duch Paryża odradzał się w boleści. W pierwszych czasach po upadku Napoleona, deklamowano na scenie poezye Wiktora Hugo *Chatiments*. Te satyry, chłoszczące ostrym biczem dwudziestoletnie cesarstwo, zrazu wywoływały głośny poklask. Sama obecność poety podniecała już zapal. Wkrótce jednak, mówi Sarcey, po głębszém zastanowieniu, uczuł ogół, że nie godzi się wywłóczyć na widownię imion ludzi, którzy nie mogą się bronić, a którzy jako zwyciężeni, powinni być wolni od takich zniewag. Zapal stygl pomалу a nakoniec *Chatiments* ustąpiły z afiszów.

Z tych samych przyczyn, publiczność paryzka nie długo smakowała w publikacyi *tajemnych papierów Cesarstwa*. Pierwsze fascykuly zajęły żywo ogół, wkrótce jednak ustąpiło zajęcie przed wstrętem i oburzeniem. „Trzy miesiące upłynęło ledwie od początku wojny—mówi kronikarz—a już dwudziestoletnia hańba stała się dla nas jakby dawno minioną przeszłością. Nie więcéj myśleliśmy o upadku Cesarstwa, jak o Nabuchodonozorze przemienioném w dzikiego zwierza, lub o Faraonie zatopionym z wojskami w otchłaniach morza Czerwonego. Z obrzydzeniem téż ogół

odwracał oczy od tych ohydnych karykatur, przedstawiających znane osoby w postaci wilków, osłów albo wieprzów. Dzienniki w myśl opinii publicznej żądały aby usunięto z za okien księgarskich te wystawy równie gorszące, jak samo zle nad którym się pastwiły.

„Dusze odradzające się w boleści, nie znosiły tych ohydnych obrazów. Z każdym dniem stawali się jakby lepsi, serca Paryżanów rosły w miarę nieszczęść walących się z coraz to gwałtowniejszą siłą.”

Najważniejszym jednak znamię czasu, był wstręt do próżnego rozprawiania po klubach. Czuli Paryżanie że słowa nie na dobie w obec huków dział i szczerku oręża. Same cyfry niech świadczą o tym pomyślnym zwrocie. W roku 1848 Paryż liczył 189 klubów; podczas oblężenia było ich zaledwie 15! Najglówniejsze ze wszystkich kluby stronników komuny, umilkły po wypadkach 31 października. W pozostałych rozbierano pytania dotyczące się żywności i obrony.

Szkoły szły swoim trybem, tak w liceach, jak zakładach pod opieką duchownych. Juliusz Simon, minister oświecenia, ogłosił piękny cyrkularz, w którym mówi że nauka powinna wzbijać lot wyżej nad czasowe burze polityki. Dla tego to skłonił Instytut do wyprawienia balonem jednego z członków swoich, w celu naukowych spostrzeżeń nad całkowitem zaćmieniem słońca, w dzielnicę w Algieryi. Uczony puścił się w nadpowietrzną podróż. Sarcey nie wymienia jego nazwiska. Utrzymuje on według powszechniej opinii, że ten balon utonął w głębi fal Atlantyku (1).

Rząd założył wielką fabrykę balonów, aby zawsze jeden gotów był do drogi skoro wiatr pomyślny zawieje. Z początku odlatały we dnie, ale zbyt trudną była przeprawa w pośród kul i rac nieprzyjacielskich. Zaczęto więc wysyłać je nocą. Kto raz widział przygotowania do takiej nadpowietrznej drogi, nie zapomni ich nigdy w życiu.

„Wyobraźmy sobie—mówi naoczny świadek—wielki dziedziec przed dworcem kolei północnej lub orleańskiej. W pośrodku balon zwykle żółty jedwabny, nadęty do połowy, szamocze się, rzuca i szeleści. W około niego krząta się w półcieńcu gromada ludzi, istne diabły zajęte piekielną jakąś sprawą. Opodal dyrektor pocztę wyciąga niecierpliwie zegarek, bada z której strony wiatr wieje, naradza się z głównym aeronautą Godardem, szepcą coś półgłosem do ucha. Znać grozi niebezpieczeństwo! Trzech ludzi ma się puścić balonem. Pierwszy z nich jakiś tajemniczy podróżnik obwinęty w futro, drżący i blady, przechadza się tu i tam; usiłuje dobrą miną pokryć wewnętrzne wzruszenie.

(1) W tej chwili dowiadujemy się z gazet, że balon szczęśliwie dostał się do Afryki.

Drugi marynarz: ten pali najspokojniej fajkę, gotów wsiąść w łódkę nadpowietrzną, z równie zimną krwią, z jaką zwykle wsiada na okręt. Służba! powtarza sobie w duchu. Trzecim sam aeronauta. Urzędnik pocztowy znosi worki z listami i paki druków, układa je starannie w głąb łódki. Przynoszą na koniec pięć klatek napełnionych gołąbkami: jest ich trzydzieści sześć. Prześliczne gołąbeczki! białe, czarne, siwe, niektóre jakby strzępione złotem. Sam właściciel mieści klatki jak może najlepiej. Wtém wpada oficer: „Depesza rządowa!”—woła na głos: balonista odbiera ją, wsiada w łódkę, za nim marynarz i tajemniczy podróżnik w futrze. Rozlega się okrzyk: *Lachez-tout!* puścić! Balon zrywa się w górę, pochylony na bok pędem wichru. Chwila to nadzwyczaj uroczysta i przejmująca. Obecni zatrzymują oddech w piersi, wszyscy wlepili oczy w tę czarną bryłę, którą wiatr szamocze z łoskotem. „Żegnajcie nam!” wołają trzy głosy z balonu. „Niech żyje Francya!” odpowiada chór z ziemi.

„Gołąbki które zabrali z sobą, powrócą niezadługo, jeśli mróz, zamieć, szpon jastrzębia lub kula pruska nie zatrzyma ich w drodze! każdy z nich przyniesie uwiązaną do piórka trzema nitkami malenką rurkę, a w niej zwitek papieru, długi na 40, szeroki na 30 milimetrów.

Ta malenka karteczka, pokryta drukiem za pomocą fotografii do mikroskopijnych rozmiarów, wygląda przez lupę jak dziennik o czterech kolumnach. Zawiera depesze urzędowe i prywatne. Na pierwszej kolumnie stoi napis: *Services des depêches par pigeons voyageurs, Steenackers à Mercadier, 103 rue de Grenelle.*

Ileż te depesze przyniosły radości, ile zaspokożenia. Z jakąż niecierpliwością Paryż wyglądał poetycznych gońców, jakąż otaczał je miłością. Niechże który z nich przemokły deszczem, znużony wracał do gołębnika, ileż to rąk wyciągało się ku niemu, ileż serc drżało na jego widok. Saint-Victor poświęcił im rzewny ustęp poetyczną prozą. Dajemy ten obrazek:

„To gołębie onej olbrzymiej arki bitej falami krwi i ognia! Słaby ich lot zakreśla na niebie łuk tęczy, zwiastujący kres nawalnicom. Dusza Francji drży pod białym ich skrzydełkiem. Ileż to łez, ile pocałunków, ile pociech, ile radości spada bez śladu z ich piór, przemokłych śnieżną zamiecią, lub rozdartych szponem jastrzębia! Wracając do gniazdeczka swego, przynoszą tysiącom gniazd ludzkich otuchę, zachętę i życie. Dziś więcej niż kiedykolwiek przystała im nazwa ptaków miłości! Jak bociany w północnych miastach, jak gołębie w Wenecyi, niechże się staną przedmiotem troskliwej opieki Paryża. Niechaj gród nasz wybierze z gołębników roje małych pisklatek i karmi je na poddaszu jednej ze świątyń swoich. Pielęgnujmy je, jako żywą a tak poetyczną tradycją tego wielkiego oblężenia, jedyne w historii ludów. Niech sam ich widok na ulicach i w ogrodach naszych, przywodzi nam na pamięć, że były dni kiedy wszystkie serca bijące w wielkiem mieście, czepiały się skrzydeł gołębia.“

„Wenecya przez ciąg długiego oblężenia, jeszcze bardziej ogłodzona niż Paryż, wzbraniała najsurowiej dotknąć gołębi Św. Marka. Zasób zboża wyczerpał się, zabrakło chleba ludziom, im przecież nie zabrakło pożywienia. Konająca z głodu Wenecya rzuciła gołąbkom ostatnie ziarno ze swych pustych spichlerzy!

Pouieś ty wietrze nasz ból do rodziny,
Miłość jej naszą ponieście ptaszyny!

Tak mówią wygnańce w pieśni Wiktora Hugo. Obraz stworzony w myśli poety, stał się dziś żywą, pełną uroku rzeczywistością. Wiatr opowiada Francyi nędze i nadzieje Paryża! Ptaki noszą na skrzydłach słowo miłości i otuchy.”

Eugeniusz Manuel, znany poeta, poświęcił ze swjej strony tym skrzydlatym gońcom wiersz powtarzany wielokroć na scenie teatru francuzkiego. Przytaczamy wiersz ten w przekładzie:

Wy miłości słodkie posły,
Gdzież się czasy te podziały;
Na skrzydełkach gdyście niosły
Utęsknionym liścik mały.

Widzę dziewczę drżącą dłonią
Szuka pisma w białym puszkę,
Jakże lica jej się płonią,
Jaka trwoga w jej serduszkę!

Otóż liścik!.. żarem słońca
Błyska nagle wzrok dziewczęcy,
I do piersi tuli gońca,
Gońca wieści tajemniczej.

Do bram naszych dziś w swobodzie
Pecha się nawał wstrętnych gości,
W oblężonym wielkim grodzie
Któżby myślał o miłości?

Oo dnia smutniej i boleśniej
Wstyd ku ziemi gnje nam głowy,
Biesiadnicze zmiłkły pieśni,
Słyszym tylko grzmot działowy.

Zbladła doli naszej gwiazda,
Czas i waszą zmienił dolę
Biedne ptaki! wam dziś z gniazda
Na krwią zlane lecieć pole!

Nie ku młodych serc uciesze
Nieś wam liścik z rąk dziewczęcy,
Wam tajemne nieś depesze,
Wy narodu posłannicy!

Bóg ukarał pychę naszą.
 O! bo naród grzązł w niej długo;
 Dzisiaj tylko biedne ptasze
 Z chętną leci nam posługą.

Oto zrenie miliony
 Patrzą chciwie w przestrzeń siną,
 Chórem pyta gród stęskniony:
 Przyleciała-żeś ptaszyno?

Mów? czy Francya zbrojna cała?
 Czy podjęła oręż mściwy?
 Jak gołąbka z arki biała.
 Czy nam niesiesz liść oliwy?

Mów gołąbko czy po lesie,
 Po winnicach, wzdłuż zagonów,
 Wiatr jesienny z echem niesie
 Pieśni dzielnych legionów!

Czy ten hufiec chyżo wzrasta,
 Co nam śpieszy ku pomocy?
 Słaz go włości? słaz go miasta?
 Zkąd? z południa czy z północy?

Leci ptaszka lotem strzały!
 Na gniazdeczko padła drżąca:
 Oddaj... oddaj świstek mały
 Na pociechę dusz tysiąca.

I przyleciał skrzydlaty goniec, jak niegdyś gołąb z arki, przyleciał nie z różczką oliwną w dziobku, ale z maleńką karteczką pod skrzydełkiem. Iskra niby elektryczna obiegła cały Paryż: miliony serc uderzyło radością i nadzieją. Zobaczmy oto jak naoczny świadek opowiada tę chwilę.

„Kto nie pamięta owych legend z dawna zapadłych wieków, kto nie czytał jak to rycerz sprawujący czaty, z wierchołka wysokiej dzwonnicy wsłuchuje się pilnie czy nie przybywa zbrojny zastęp w odsiecz obleżonemu miastu? Tłum ludu czeka na placu przed kościołem; pyta rycerza azali nie nie widział. Rozpacz ogarnia serca, łzy płyną, czują bowiem obecni że zbliża się chwila stanowcza. Miasto poddać się musi! Aż tu nagle ze szczytu wieży daje się słyszeć głośny okrzyk: Tam daleko, daleko na do-
 linie widać czarną chmurę; powiększa się, przybliża, już tu! przez tuman kurzawy połyskują helmy i włócznie. I lud wszystkich od-
 powiada na to szalonym okrzykiem wesela, tysiące rąk otwiera się do uścisku; tysiące ust poprzysięga raczej umrzeć a nie ustąpić.

Radość promienieje na obliczach, nadzieja ożywia wzrok przegasy, zapal wstępuje w serca!

„Ta legenda z czasów Attyli, powtórzyła się, kiedy 15 listopada, gołąb przyniósł depeszę z oznajmieniem że armia loarska pod Aurelim de Palladine, odbiła Orlean z rąk nieprzyjaciela. Jakież słowo wypowie szczęście nasz! czuliśmy się przerodzeni w nowych ludzi. W mgnieniu oka przepomnieliśmy wzajemnych uraz i nienawiści, nędz i podejrzeń naszych. Ta prowincya tak przez nas spotwarzana, tak pomawiana o samolubstwo, pośpiesza nam na pomoc! Cała Francya łączy się w jedną myśl; przez obręcz dział nieprzyjacielskich, Paryż i prowincya zasyłają sobie serdeczne pozdrowienie, słowo miłości i zachęty!”

Ów świstek maleńki przyniesiony pod skrzydłem gołąbka, pobudził Paryż do nowych ofiar. Silny nacisk opinii publicznej zmuszał rząd do tém euergetycznego działania. Sypnęły się nowe datki, bataliony gwardyi narodowej szły na wyścigi w dostarczaniu dział własnym kosztem. Redakcye dzienników, teatru, wszystkie instytucje pośpieszyły również z usługą.

O! jakże krótko trwały rozbudzone nadzieje! Nie będziemy się rozpisywali nad tém pasmem smutnych wypadków wojennych, które nie dopuściły połączenia się wojsk nowo utworzonych przez Gambettę z siłami paryzkimi. Niepowodzenia armii loarskiej i generała Ducrot pamiętne dobrze z gazet! Powiemy tylko że i te nowe klęski, zwiększone wpływem grudniowych mrozów, coraz dokuczliwszym brakiem opału, światła i pokarmu, nie osłabiły ducha Paryżan, tych jak ich zwano niebacznie mieszkańców nowego Babilonu i Niniwy!

Cała literatura obleżonego Paryża nie pokazuje ani cieniu rozpacz. Były wprawdzie niepokoje, rozruchy, gwałty nawet, ale o cóż szło tym rozgorączkowanym tłumom. Czy o poddanie się? Bynajmniej! szło im o to, aby co najprędzej piersiami własnymi rozbić ściskającą ich obręcz. Tysiące głosów wołało „naprzód!” Żaden głos nie odezwał się za poddaniem!

Wszystko sprysięgło się na Paryż. Grudzień zwykle tu pogodny, a przynajmniej łagodny, wczesnym mrozem zapowiadał twardą zimę. Jakoż nie było takiej oł' lat dwudziestu. Sekwana zamarzła. Trzeba było zatrzymać obozowe roboty; stężałej ziemi nie roztrącić motyką! Przynoszono codziennie do ambulansów setki żołnierzy zmarzłych na posterunkach.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia, uroczyste zazwyczaj obchodzone, przez większą część ludności paryzkiej, pilnującą tradycyjnych zwyczajów. Część ta nierównie liczniejsza, niż się to napozór wydaje. Aby poznać Paryż, potrzeba wsłuchać się w bicie jego serca, a jakże mało z tych co go sądzą słuchali tych uderzeń. Weźmy oto słowa feuilletonisty Sarceya, którego przecież trudno posądzać o pietyzm i tak zwaną zastalność. „Jak smutno przeszły te dni poświęcone zwykle radości! Jakże ta noc Bożego Narodzenia, odmienną była dla nas od owych noczy uroczystych

uczt (tak zwanych reveillonów obchodzonych po Pasterece), któremi czciliśmy w całym Paryżu pamięć wielkiej rocznicy! Większa część kościołów była zamkniętą, na ulicach słabo oświetlonych, kiedy niekiedy ledwie dał się słyszeć odgłos ludzkich kroków. W nielicznych restauracjach połyskało blade światło. Tu małe grupy bliższych przyjaciół raczyły się wzajem przysmakami z zoologicznego ogrodu, to kotлетem z wilka, to potrawką z kangurów lub kawałkiem pieczonej trąby słońiej. Przymuszaliśmy się do śmiechu, z naszej biedy.

Stokroć jeszcze cięższym był dzień Nowego Roku. Już na parę dni przed tém, olbrzymie Kruppy jeły wyrzucać z paszcz swoich, owe bomby niesłychanych rozmiarów, ostatni wynik nauki śmierciodawczej. Nieprzyjaciół zdemaskował nagle trzypiętrowe baterie najeżone działami. Godzina uderzyła! Rozległ się okrzyk: Paryż bombardowany!

Pod wpływem takich to wrażeń rozpoczął się rok 1871 dla Paryżan!

„Poranek 1 stycznia!—mówi z boleścią Sarcey—nie zapomnę go nigdy! nie zapomnę chwili, gdy na małym stoliku służąca postawiła przedemną śniadanie. W tym dniu świątecznym, kiedy zebrana rodzina zamienia wesoło życzenia, upominki i pieszczoty, widziałem się sam przy napół zgasiém ognisku, przed kawałkiem końskiego mięsa. Żal ścisnął mi serce, zalałem się łzami! Ileż to łez popłynęło w Paryżu w owę smutną godzinę! Wielu z nas wyprawiło daleko matki, żony, dziatwę; od trzech miesięcy nie mieliśmy od nich żadnej wieści. W inne, zwyczajne dnie, twarda obowiązkowa praca, podwojona w tych czasach służbą w gwardyi narodowej, odrywała myśl naszą od drogich sercu istot. W tym uroczystym dniu jak żywo ukochani nasi stali nam przed oczyma! My Francuzi łatwo przepominamy krzywd i zniewagi; ale czego nie zapomnim nigdy, to tego dnia Nowego Roku, spędzonego bez rodzin, bez listu, bez pocałunku żony, bez pieszczoty dziecięcia!”

Jakże wymowna odpowiedź tym, którzy utrzymują że nie ma życia rodzinnego we Francyi!

Wszystkie plagi sypią się na Paryż. Głód coraz dotkliwiej czuć się daje: administracya wydała po 300 gran chleba na osobę. I jakież to chleb! czarny, pełen ości, mieszanina słomy mielonej z ziarnem, z plewą i otrębami. Mięso wołowe i baranie stało się mytem. Głowa kapusty kosztuje do sześciu franków, Po listku ją kupują, aby przykрасić chudy rosół z końskiego mięsa. Kartofle zamieniają się w przedmiot prawdziwie zbytkowy. Jedni drugim rozdają je na kolendę jak niegdyś smażone kasztany Sirodina. Zamiast masła przekupki topią najobrzydliwsze tłustości i sprzedają po cenach nadzwyczajnych. Brak żywności tém dotkliwszy, że przy wzmagających się mrozach, Paryż nie ma opału. Zapasy węgla wyczerpane do reszty. Lud w rozpacz rozgradza parkany i rusztowania. Z rozkazu rządu wyrąbują

część lasu Bulońskiego i Winczeńskiego, ścinając drzewa na bulwarach zewnętrznych; ale z mokrych drzew więcej dymu niż ciepła!

W takich warunkach śmiertelność wzrasta w zatrważający sposób. Oprócz ospy, która od roku grasowała ciągle w Paryżu, powstają tysiączne choroby. W zwyczajnych czasach liczba pogrzbów dochodziła mniej więcej do tysiąca trzechset na tydzień; w grudniu i styczniu, śmierć zabiera po trzy a nawet po cztery tysiące pięćset ofiar. Karawany ciągną sznurem ku cmentarzom. Wszystkie cmentarze przepełnione trupami.

Po szpitalach i ambulansach mnóstwo rannych; wycieczki bowiem ciągle się powtarzają. Lekarze boją się tyfoidalnej epidemii. Bóg oddalił przynajmniej tę plagę, dzięki niesłychanemu poświęceniu i cudom miłosierdzia, jakie Paryż spełniał w tych nieszczęśliwych czasach: dość wspomnieć ambulanse.

W początkach jeszcze wojny: zawiązały się dwa Towarzystwa: jedno zwane *międzynarodowe*, zasilane przez możnych panów, bogatych cudzoziemców i świat bankierski; drugie Towarzystwo Ambulansowe Passy, dzieło paryżkiego dziennikarstwa. Gaulois organ najpopularniejszy w Paryżu, otworzył w kolumnach subskrypcję: w ciągu pierwszego miesiąca złożyło redakcyi do miliona franków.

Towarzystwo Międzynarodowe założyło główną kwaterę w pałacu przemysłu na Polach Elizejskich, ale gdy nadeszła zima okazało się niepodobieństwo opalania rozległych sal, pokrytych szklannym dachem. Wówczas przeniesiono rannych na bulwar Włoski do wielkiego hotelu, gdzie za lokal płacono po 500 franków dziennie. Panie wielkiego świata, ile ich pozostało w Paryżu, pielęgnowały chorych w tym zakładzie. Sławny chirurg Nelaton pełnił obowiązki naczelnego lekarza.

Towarzystwo Passy ze swej strony pozakładało w różnych stronach miasta prowizoryjne zakłady, największy z nich w Tuileries; tymczasem zajęło się z niesłychaną gorliwością zbudowaniem wielkiego ambulansu na wzór amerykański. Wykończono go w grudniu. Zajmuje on w Passy rozległy plac *Longchamps*.

Istna to wieś szwajcarska, złożona z trzydziestu i jedna barak. Z tych dwadzieścia jedna przeznaczone dla chorych; w pozostałych urządzono kaplicę, aptekę, kuchnię, warzelnię ziółek, skład bielizny i t. p. Każda baraka tworzy ogromną salę, długą 30 metrów, szeroką 10. Słońce od rana do wieczora oświeca tę wielką przestrzeń wnikać przez 200 okien. Dwa piece połączone w środku rurami dostatecznie ją ogrzewają. Wkoło tych pieców siadają zwykle rekonwalescenci. Każda sala mieści 20 łózek.

W dnie bitwy zarząd ambulansów Passy wyprawiał 200 wozów pełnych materacy, kołder, pasów elastycznych i t. p.; towarzyszyła im odpowiednia służba. Sarcey podnosi szczególnież zasługi braci *Doktryny Chrześcijańskiej*, którzy z niesłychanem poświęceniem pełnili powinność, dając drugim najpiękniejszy przy-

kład. Ich przełożony brat Filip, otrzymał order Legii honorowej, za zbiorowe zasługi zgromadzenia. „Pod gradem kul nieprzyjacielskich — mówi nasz kronikarz — pobożni bracia podejmowali z ziemi rannych, znosili ich na rękę. Wśród twardej pracy, nie skarżyli się nigdy na głód, największe ofiary wypełniali z dziecięcą prostotą. Żaden z nich ani się domyślał, że był prawdziwym bohaterem!”

Według powszechnego sądu, o ile administracja na wszystkich szczeblach, okazywała się niedołązną i nieradną, co było powodem niezliczonych klęsk, o tyle miłosierdzie pojedynczych uprzedzało wszelkie potrzeby. Ledwie zrodziła się myśl jakaś dobroczynna, ogół urzeczywistniał ją najspieszniej. Szpitale i ambulanse zawałone były bielizną i stosami szarpi. Skoro mrozy poczęły dokuczać zawiązało się towarzystwo w celu opatrywania żołnierzy w stosowną odzież. Na pierwszą odezwę po dziennikach sypnęły się sztuki flaneli i różnych ciepłych tkanin. Po wielkich bitwach pod Villiers i Champigny, obawiano się czy nie zabraknie łóżek po ambulansach, odezwało się więc do obywateli miasta, aby pozabierali do siebie rekonwalescentów uprzątając miejsce nowym przybyśsom. Nazajutrz potem 20,000 osób zgłosiło się z żądaniem do prefektury. Na wszystkie strony tworzyły się koła i kółka: te karmiły ubogich, tamte ułatwiał zarobek.

Kobiety rozwinęły godną podziwienia działalność. Jedne pełniły służbę po ambulansach, drugie doglądały tanich garkuchni, inne roznosiły żywność ubogim. Powstało mnóstwo kobiecych stowarzyszeń; najślawniejsze z nich *Towarzystwo Siostr Francji*. Założycielem jego był Emil Barrault, członek cywilnego komitetu obrony; ale inicjatywa wyszła od samych kobiet. Razu jednego podczas sessyi Barrault otrzymał list kobiecą napisany ręką, żalący się gorzko, że kiedy wszyscy służą publicznej sprawie, połowa społeczeństwa pozostawiona w bezczynności. Mężczyźni zaciągają się do wojska; czemużby kobiety nie miały pełnić odpowiedniej im służby jako dozorczyń, szwaczki, szafarki żywności i t. p.

W myśl tę powstała instytucja Siostr Francji. Są to Siostry miłosierdzia cywilne i czasowe.

Emil Barrault z wielkim taktem zajął się organizacją towarzystwa. Zgłosiło się mnóstwo ochotniczek, ale trzeba było bacznie wybierać między niemi. Najwięcej zależało na wyborze poważnych i doświadczonych matek postawionych u steru. Instytucja rozwinęła się wzorowo: w ostatnich czasach liczyła do trzydziestu ambulansów. Jedne z tych były ruchome, drugie stałe; jedne przeznaczone dla rannych, inne dla chorych bez wyłączenia ospy i tyfusu. Siostry obsługiwały je dniem i nocą, luzując się na przemian. Ubiór ich dowolny, ciemny w ogólności, oznaczony krzyżem czerwonym. Należą tu panie wielkiego świata równie jak niezamożne mieszcanki od lat dwudziestu pięciu; młodszych nie przyjmowano.

Nasz kronikarz przytacza wiele dowodów prawdziwego poświęcenia Paryżanek. „Kto wie—mówi on—czy ta epoka nie-szczęść naszych, nie stanie się epoką odrodzenia, czy te ciężkie próby, nie będą dla nas arcyzbawienną nauką? Ta okropna wojna dała nam wniknąć w siebie i odkryć w sumieniu własnem, ty-siące win, które popełnialiśmy bez świadomości złego. Potrzeba nam otrząsnąć się z nich, i odrodzić w duchu. Ta wojna niemniej wydobyla na jaw wielkie zalety, których ani kraj, ani świat, są-dzający nas z przekłętęgo nałogu *blagi*, wcale się po nas nie spo-dziewał, do których my sami nie czuliśmy się zdolni. Z dumą narodową oddaję to świadectwo zacnym kobietom naszym. Pod pokostem lekkości, ileż w nich cnót rzeczywistych, jaka dobroć, jaka nie wyczerpana gotowość do ofiary.”

Przyszła dla Paryża najstraszniejsza chwila. W pierwszych dniach bomby dolatały tylko do fortów; piątego stycznia ujrzał je nagle Paryż. Kilka granatów wpadło do ogrodu Luksemburgskiego, kilka innych na cmentarz Montparnaski. „To przypadek—mówili Paryżanie,—to pomyłka! któż bombarduje miasto bez uprzedzenia o tem władz rządowych?” Wkrótce jednak złudzenie znikło. Nie były to zabłąkane granaty. Grad pocisków sygnął się na miasto, na stolicę nowoczesnej cywilizacji; pominięto prawo narodów: zwyciężeni mogli dopominać się o nie? Ciało dyplomatyczne przebywające w Paryżu, protestowało przeciw pogwałceniu praw Bożych i ludzkich; kanclerz odpowiedział: „Francuzi winni sami, oni to bezmyślnym oporem doprowadzili do takiej ostateczności!”

Rzecz dziwna! bombardowanie zamiast postrachu budziło raczej ciekawość w ludzie paryżkim. Tłumy biegły przypatrywać się widowisku nieznanemu im dotąd. Nie dosłyszeli nikt jęku ani okrzyku trwogi. Za każdym pęknięciem granatu, sygnął się z ust żarty. Chmara uliczników rozchwytywała odłamki ciepłe jeszcze i sprzedawała je na pamiątkę oblężenia. Im cieplejszy odłamek, tem drożej go płacono. Rząd zmuszony był cyrkularzem zabronić Paryżanom gromadzenia się w miejscach kędy padały bomby. Lud odczytał odezwę na rogu ulic, przyznał jej słuszość, nikt jednak nie stosował się do niej.

Jezeli szkody materyalne nie były tak wielkie jak się lękano zrazu, mnóstwo za to padało ofiar, zwłaszcza między najsłabszą częścią ludności. Mężczyźni pędzili nocą na wałach pod zasłoną przekopu; starce, kobiety i dzieci pozostały w domowem gnieździe. Co rano dzienniki ogłaszały liczbę zabitych: tu matka z niemowlęciem na ręku, tam dziecię ugodzone w kołysce; tu znów kilka kobiet powalonych w chwili gdy czekały na żywność. Cały Paryż wstrząsł się od grozy wyczytawszy w gazetach ogłoszenie: „Państwo Legendre oznajmijają przyjacielom i krewnym, że dwie ich córki, trzyletnia Alicja i ośmioletnia Klemencya zmarły ugodzone granatem.” Bomba padła w dom świętego Mikołaja, jeden z największych zakładów naukowych w stolicy, zabiła pięciu

chłopców od lat dwunastu do czternastu. Inna przebiła dach w pensyonie panien, zgmiotła na miejscu dwie dziewczynki. Liczny orszak pogrzebowy odprowadzał ofiary na cmentarz. Przy pochowaniu uczniów od św. Mikołaja, Juliusz Favre wyraził w pięknej mowie, boleść całej ludności paryżkiej.

Bomby sypały się najżarliwiej na muzea, biblioteki i szpitale. Wiadomo jak bogate w nie miasto po lewém brzegu rzeki. Co dnia téż czytano w dziennikach protestacye najślawniejszych lekarzy, przeciw morderstwu rannych. Najwięcej bomb padało na szpital wojskowy Val de Grace. Generał Trochu przeniósł tam rannych jeńców, uwiadomił o tém generała Moltkego; odtąd granaty omijały to miejsce. Z ambulansu urządzonego w pałacu Luksemburskim, trzeba było powynosić chorych z łózkami. Ogród botaniczny poniósł nieobliczone straty. Ciepłarnie najbogatsze w świecie zrujnowane ze szczerem. Dyrektor tego naukowego zakładu p. Chevreul napisał deklaracyą; podpisali ją wszyscy członkowie akademii nauk. Oto słowa tego aktu, zachowanego ku pamięci przyszłych pokoleń:

„Ogród *roślin lekarskich* założony w Paryżu w moc edyktu króla Ludwika XIII-go, pod datą 3 stycznia 1636 roku, zamieniony w muzeum historyi naturalnej 23 maja 1794 roku, zbombardowany był przez wojska pruskie w nocy z 8 na 9 stycznia roku 1871. Dotąd szanowały go wszystkie stronnictwa i wszystkie władze, tak narodowe jak i obce.”

Dwie ostatnie kamelie z całego zbioru, posłał zarząd ogrodu wielce zasłużonemu Anglikowi Ryszardowi Wallace, jako hołd wdzięczności za niezliczone ofiary położone na ambulanse i inne potrzeby miastu. Wallace cały czas oblężenia przepędził w Paryżu. Lud przezwiał ulicę Berlińską, czeigodnem jego nazwiskiem.

Mimo bombardowania, życie szło zwykłym trybem w stronach miasta najwięcej narażonych. „Z uczuciem smutnego uwielbienia — mówi nasz kronikarz — patrzałem na te tłumy ubogich gospodyń, czekające pod pociskiem granatów na kawałek czarnego chleba. Nie posłyszałem skargi. Cierpiały w milczeniu, z bohaterką prawdziwie wytrwałością, gotowe na najcięższe ofiary, byle się tylko nie poddać. Widok tych nieustraszonych kobiet, poruszał dziwnie serce: łzy mimowoli cisnęły się do powiek.”

Rząd ułatwiał rodzinom środki przeprowadzania się w strony miasta mniej zagrożone. Oddawano im puste domy; lud jednak przywiązany do kątów swoich, nie rad się z nich oddalał: wiele rodzin pozostało w domu bądź co bądź. Obawiano się czy przy gorączkowym podnieceniu umysłów, przy ciemności panującej na ulicach, a do tego przy braku policji, opuszczone domy nie będą narażone na łupieństwo. Obawa okazała się prózną: w tych smutnych czasach, w części miasta wyludnionej w połowie, nie było nigdzie ani kradzieży, ani mordu.

Mróz sfołgował, słońce zaświeciło. Gołębie zatrzymane w drodze śnieżną zamiecią, przyleciały z Bordeaux w dniu 8 sty.

cznia. Przyniosły pod skrzydełkiem 20,000 depeszy rządowych i prywatnych. Gambetta donosił o działaniach trzech armii, Chanzego, Faidherba i Burbakego. Na tę wieść krew zakipiała w żyłach.

— Czekacze nam beczynnie! — wołali Paryżanie, — gdy każdy dzień tak ciężki, gdy forty nasze milkną pod pociskiem bomb, gdy głód zabiera co dnia setki ofiar? I zniecierpliwiona ludność coraz to silniej naciska rząd, domagając się wielkiej, stanowczej wyprawy. Ludność ta nie świadoma stanu zapasów, przeczuwa jednak straszną katastrofę. Błade widmo śmierci głodowej stawia jej groźnie przed oczy. Porusza się lud niby olbrzymie rojowisko. Jedni krzyczą na nieudolność rządu, gorętsi przypuszczają zdradę.

Paryż odetchnął swobodniej, kiedy 19 stycznia wyczytał na murach miasta uwiadomienie o wielkiej wyprawie. Podpisał je Le Flo; Trochu stał już na czele wojska.

Doba cała zbiegła w gorączkowym oczekiwaniu. Któż wypowie co czuli Paryżanie, kiedy nazajutrz, zamiast spodziewanej wieści o przebiegu zastępów nieprzyjacielskich, wyczytali buletyn nadeszły z pola bitwy. „Potrzeba nam dwudniowego zawieszenia broni dla pogrzebania trupów, i zabrania rannych. Przyslijcie jak najwięcej powozów i służby ambulansowej.”

Zrozumiał Paryż, że pod jego murami odbyło się nowe Waterloo!

Przyszła zarazem wieść o klęskach Chanzego i Faidherba!

Część ludności łudziła się jeszcze myślą, że wystarczy chleba na czas potrzebny do przygotowania krwawego odwetu. Liczono jeszcze na Burbakego. Ale ci, którzy znali bliżej stan rzeczy nie łudzili się wcale. Pozostały chleb wystarczał zaledwie na tydzień. Wiadomo zaś było rządowi, że okolice Paryża są pustynią, że prędko zasilek z dalszych stron niepodobny, skutkiem popsutych dróg i powysadzanych mostów. Kapitulacja była koniecznością..... Spełniło się jednak to, cośmy na pierwszą wieść o oblężeniu powtórzyli za normandzkim wodzem: „*Nie można wziąć Paryża!*”

Ostatnim objawem literatury oblężniczej zdają nam się słowa J. Lemoina, wyrzeczone do Paryża i całego narodu francuskiego, wraz z uwiadomieniem o kapitulacji, i powtórzeniem tak bolesnego *Consumatum est!* Przytaczamy jego wyrazy:

„O wy Francuzi z całej Francyi! których serca złączyły się i pojechały pod wpływem tych krwawych zapasów, wy w których duszę wlewamy w tej chwili gorzką boleść, powiedzcie sobie śmiało, żeście spokojni w sumieniu waszém, poświadczcie się Bogiem i ludźmi, żeście pełnili powinność waszą aż do końca! Chwała Paryżowi, temu Paryżowi tak nie słusznie spotwarzonemu, że do ostatniego dnia, do ostatniej godziny, piastował godnie chorągiew całej Francyi! Duch narodu rozbity i rozprószony tyłoma przewrotami, nadaremno usiłował się skupić. Bodajby w tych ciężkich próbach odzyskał samowiedzę, i zaczerpnął siłę odradzającą.”

Niemniej pięknemi słowy Sarcey zakończy swoje dzieło:
 „Spełniajmy wszyscy powinność naszą, z oczyma wlepionemi w okręt, odwieczny herb Paryża. Niechaj wyrte na nim godło, stanie się godłem całej Francyi: „Miotany, lecz nie pochłonięty.”

Z pomiędzy obrazków poetycznych, których znaczna liczba pojawiła się podczas oblężenia, dajemy nateraz w przekładzie wiersz Franciszka Coppée p. n. *List ochotnika bretońskiego*.

Matko! ojcze mój stary, ty siostrzyczko złota,
 Wieczorem gdy się dzienna zakończy robota,
 Zanim capstrzyk zadzwoni, radbym oto szczerze
 Co myślę skreslić dla was piórem na papierze;
 Ale smutno się jakoś wątek myśli klei,
 Bo chociaż — Bóg mi świadkiem — nie tracę nadziei;
 Choć wiem, że gdyby przyszło położyć mi głowę:
 Spełnię wiernie powinność; lecz progi domowe,
 Czyli to w dzionek biały, czy to w nockę ciemną
 I we śnie, i na jawie, wciąż stoją przedemną.
 Widzę izbę i półki przyparte o ścianę,
 I miski farfurowe, dzbanki malowane;
 Na stole garść orzechów, kawał szynki tłustej,
 Z misy na całą izbę bucha woń kapusty;
 Matka w bieluchnym czepcu do stołu się zbliża,
 Ojciec ujął chleb w rękę — i nożem znak krzyża
 Kreśli na nim pobożnie, zaczem kęs odkroi:
 Kiwnął głową; o częstce snuć pomyślał mojej;
 Dość już o tém, wróg wszystkich na miazgę nie zetrze,
 Może i wrócić do was!

Pod fortem w Bicetrze
 Stanęliśmy obozem wszyscy z naszej wioski,
 Pan hrabia z nami także: gdy kreślę te zgłoski
 Na skórzanym tornistrze, dmie wichur z łoskotem,
 Weciąga się przez szczeliny i wstrząsa namiotem,
 I papier z rąk wyrывa, i świeczkę mi gasi.
 Bicetr to fort nie lada! Bretonowie nasi
 Zaprawni do niewczasu dzielni marynarze,
 Na murach dniem i nocą trzymają tu strażę.
 Dopadkiem chyba tylko jak w morskiej przystani
 Wsparci grzbietem o działo, zasną spracowani.
 Przecież te dzielne zuchy na trud się nie żalą,
 Kilku dawnych znajomych spotkałem z Saint-Malo,
 Razem też — jak Bretonów działywa nieodrodną,
 Po małej wina czarce spełniliśmy do dna.

Mój oddział do ostatniej należał wyprawy,
 W niej Noël syn dzwonnika legł na polu sławy
 Jak to mówią w Paryżu: sam na to patrzałem
 Gdy padł, w ramię śmiertelnym ugodzony strzałem.
 Tarzał się w krwi nieborak, krzyczał w niebogłoso;
 Na ten widok aż dębem powstały mi włosy,
 Tchu w piersi mi zabrakło, ale trudna rada,
 Grzmiały bębny ... toć po trupach naprzód iść wypada.
 Zbieram siły, kłęb dymu wyżera mi oczy,
 Pcham się naprzód i strzelam na oślep w pomroczy;
 Aż gdy światło do reszty nad głową nam zgasło,
 Gdy trąby zadzwoniły do odwrotu hasło,
 Wieczorem, jakiś starszy w poźłocistym *kepi*,
 Z rzędu starych wiarusów, co szermierzą lepiej
 Szpadą niżli językiem: „Dobrze chłopcy moi!”
 Rzecz do nas, a potem klnie na czem świat stoi,
 Jakby jakiś poganin;—a wiara odpowie:
 „Niech żyją! niech nas tacy prowadzą wodzowie!”

Ten i ów rzuci słówko ...ej, odpuść im Panie!
 Na siwego plebana co w długiej sutanie
 Podąża z nami w ogień, a skoro potrzeba
 Obmyte z grzechów dusze zasyła do nieba,
 My za całą odpowiedź tej knaźbrnej gawiedzi
 Uczym jak człek umiera po mszy i spowiedzi!

Byliśmy i w Paryżu: mieściskoż to duże!
 Ludu w niem co niemiara... dreszcz mnie zbiegł po skórze!
 Złe jakieś przyszły wieści, naród osowiały
 Po ulicach gazety czyta przez dzień cały.
 Mieszczanie nas rekrutów goszczą jak kto może,
 Jam z Piotrem stanął w pięknym marmurowym dworze;
 Nie brakło nam wygody, napoju, ni jałła,
 Cudnie tam, gdzie rzuć okiem: obrazy, zwierciadła.
 Podłoga jak szkło ślizka, nie śmiem stąpić kroku,
 Siadam na brzeżku krzesła... aż tu szczęściem z boku
 Gromadka drobnych dziatki wesoło przybieży,
 Spójrzy na nas i hurmem pędzi na żołnierzy.
 Jedno drze się do szpady, drugie do felcecha,
 Pełno gwaru, tartasu: byłaż to uciecha!
 Aż jakoś i mnie w końcu ośmieliły dziatki,
 Żem raźniej począł stąpać po podłodze gładkiej
 I takem się z rodziną zapoznał powoli,
 Jakbyśmy zjedli razem całą beczkę soli.

Ale muszę list kończyć, czas chyżo ucieka,
 Już się capstrzyk wieczorny rozlega zdaleka,

Czy dojdzie list rąk waszych, Bóg to wiedzieć raczy;
 Aleń rad żem się uczył w szkole, bo inaczej
 Nie byłbym dziś kapralem, i bez tój ochoty
 Do książki i do pióra, ten galonik złoty
 Nie świeciłby tak na mnie, jak dziś oto świeci.
 Mój list jutro z Paryża balonem odleci.

A teraz do widzenia! ja nie tracę wiary
 Że was powitam jeszcze, matko! ojcze stary!
 Gdybym zaś nie miał wrócić, niech żal wasz ukoi
 Myśl, żem dotrwał do końca przy chorągwi mojej,
 Żem legł w kraju obronie. Czekajcież w pokoju,
 A ty siostró jak spotkasz Iwonkę u zdroju.
 Powiedz, że o niej myślę w każdej życia chwili,
 Że w Paryżu gdzie drudzy serca potopili,
 Ja zachowałem moje nietknięte i zdrowe;
 Powitaj ją, ucałuj za mnie włoski płowe,
 I szepnij jej do uszka żem ja niespokojny,
 Czy mnie ktoś nie ubiegnie zacem wrócę z wojny.
 A niech też zbyt nie tęskni i od łez się wstrzyma,
 Bo nie chcę z czerwonymi zastać ją oczyma.
 Bądźcie wszyscy swobodni i zdrowi, Bóg z wami!
 Kochające was dziecko pisze to ze łzami.

Z prawdziwą przyjemnością wyczytaliśmy w ostatnim numerze Biblioteki, korespondencyą czcigodnego naszego poety A. E. Odyńca. Miło nam że słowa nasze znalazły oddźwięk w jego przeznaczém sercu tak wierném w uczuciu przyjaźni dla naszego wielkiego wieszczą, przyjaźni którą i Mickiewicz tak gorąco podzielał. Miło nam też odpowiedzieć na wezwanie, sprostować niektóre rzeczy, z innych się wytłumaczyć. Tém łatwiej nam to przyjdzie, że Ewunia czyniąc zadosyć prośbie naszej, sprowadziła tu swój dzienniczek, w którym zapisywała w Rzymie codzienne wypadki i wrażenia. Dzienniczek ten, z tylu względów ciekawy, nie wiele więcej zawiera szczegółów tyczących się Adama, niż to co nam powtarzała z pamięci. Czasami tylko spotykamy tu jakiś hieroglif, jakieś pojedyncze litery, jakąś przenośnię tajemniczą: np. *Wieczór był lilla*, to jest jeszcze nie czarny, ale już nie różowy! Z tego to jednak dzienniczka mogliśmy sprostować niektóre daty, a mianowicie datę owego cudownego snu o baranku, do którego zacny przyjaciel Adama, najsłuszniej tak wielkie przywiązuje znaczenie.

Sen Ewuni rzeczywiście przypada na rok 1831. Było to 2 lutego, w święto N. Panny Gromnicznej, w dzień podwójnie uroczysty dla Rzymu i chrześcijańskiego świata, gdyż w tym dniu właśnie ogłoszono obiór nowego papieża w osobie Grzegorza XVI.

W tym czasie Adam codziennym bywał gościem w domu hrabiego *** (Stanisława przydomku Skarbek, co podwójnie usprawiedliwia nasze S.). Mówiliśmy już dawniej, że rok 1831 rozpoczął się dla poety i Ewuni, pod pomyślniejszą gwiazdą, która niestety rychło zagasnąć miała. Z powodu uroczystości ogłoszenia Ojca Świętego, umówionem było, że Adam przyjdzie z rana, że z rodziną S. uda się najprzód do kościoła na nabożeństwo, ztamtąd zaś wszyscy razem pojedą na Kwirynał.

Okolo 10-ej z rana przybył Mickiewicz, zastał w salonie hrabinę z Ewunią i Marcelliną. Hrabina zaczęła wtedy opowiadać sen córki. Zawstydzona Ewunia przerywała co chwila matce, lękała się bowiem aby Adam nie wziął ją za dziecko, skoro baranek z różową wstążeczką na szyi może zajmować jej senną wyobraźnię. Nie pomogły prośby i błagania, matka ciągnęła dalej, co tak bolało Ewunię, że chciała już uciekać z pokoju, kiedy nagle spojrzała na Adama. Stał blady i milczący jakby posąg z marmuru... oczy jego płonęły... po chwili wyrzekł uroczyście:

— Ja dziś Baranka przyjmowałem! i to po kilku latach nie przystępowania do stołu Pańskiego.

Słowa te głęboko poruszyły obecnych. Łzy popłynęły z oczu hrabiny i panienek. Ewunia tuliła się drżąc do matki; Marcellina wybiegła do pokoiku swego, podziękować Bogu za okazaną łaskę.

Ewunia przemileczała o tych szczegółach w dzienniczku, gdyż nie wiele w nim pisała o Adamie, raz z obawy ojca, który często przeglądał te notatki; powtórne zdawało jej się, że tego rodzaju wspomnienia, najwłaściwiej zapisywać w sercu. Czuła, że one tam przetrwają bezpiecznie i nietknięte. Nie myliła się... przebieg długich i ciężkich lat czterdziestu nie zatarł ich bynajmniej!

Jeżeli w pierwszych zwierzeniach swoich, których my byliśmy tłumaczami, Ewunia krótko zatrzymała się nad owym snem cudownym, przyczyną tego była jedynie skromność, przebijająca niemniej we wszystkich ustępach opowiadania. Stawiając na widowni Adama, Ewunia starała się zawsze zacierać o ile można własną osobistość; dlatego to i ów sen rzucający na nią jakby sen proroczy, tak małe zajmował miejsce w jej zwierzeniach.

Dzięki inicjatywie szanownego p. Odyńca, wydobyliśmy od niej wyżej przytoczone szczegóły. Sen pozostał w jej pamięci zupełnie takim, jakim go Adam przedstawił w Dreźnie przyjacielowi. Nie pamiętała tylko, czy Adam oddając jej baranka piastował go na rękę. Jej się wydało raczej, że go prowadził na różowej wstążeczce. Drobnny ten szczegół w niczem nie zmienia rzeczy.

Co się tyczy modlitw za nawrócenie Adama, prawdą jest, że od roku Ewunia z Marcelliną odmawiały je codzień w Rzymie. W mniemaniu panienek, Adam nie był nigdy bezbożnym, uważały jednak czasami w słowach jego, nie zupełną zgodę z tradycją kościoła. Nie powątpiewały wprawdzie o jego uczuciu religijnem, ale w jego rozumowaniu widziały niekiedy sprzeczność z témże

uczuciem. Z tego to powodu obie panienki odmawiały codziennie różaniec, a z imieniem Adama imię Edwarda łączyło się zawsze w ich intencji. Adam wiedział od hrabiny o tych modlitwach i bardzo był niemi poruszony. Ztąd to zapewne ofiarował Ewuni małą koronkę, zamkniętą w złotym medalioniku.

Jeżeli Ewunia zrazu nie wspominała nam o tem, to także przez uczucie skromności. Nie śmiała przypisywać modlitwom swoim zasługi z tego zwrotu, do którego jak mówi sama, wiele się przyczynił urok rzymskich pamiątek, i jak słusznie utrzymuje szanowny pan Odyniec, spotkanie i przyjacielski stosunek z księdzem Chołoniewskim.

Zwrot ten objawiał się pomału ale stanowczo. Mamy właśnie przed sobą małą książeczkę O naśladowaniu Chrystusa, są w niej podkreślane ustępy ręką wieszczą naszego. Na niektórych zaś ręką zapisana data i miejsce. Oto ustęp z napisem: *Genewa, wrzesień 1830.*

„Wielka jest rzecz miłość i wielkie zaiste dobro, która sama czyni lekką wszelką ciężkość, a zarówno znosi wszelkie życie tego niedostatki. Albowiem brzemie bez uciążenia nosi, a wszelką gorzkość słodką i miłą czyni.

„Miłość chce mieć górę, a żadnymi rzeczami poziomem nie chce być zatrzymana.

„Nie ma nic słodsze nad miłość, nic mocniejszego, nic wyższego, nic rozleglejszego, nic wdzięczniejszego, nic zupełniejszego, nic lepszego na niebie i na ziemi, bo miłość z Boga się urodziła, a nie może jedno w Bogu nadewszystkie rzeczy stworzone odpoczywać.

„Prawdziwie miłujący, lata, biega, weseli się, wolnym jest, i nie go nie zatrzyma.

„Daje wszystko za wszystko, i ma wszystko we wszystkiem; bo w samém najwyższem szczęściu nadewszystko odpoczywa, z którego wszystko dobro wypływa i pochodzi.

„Miłość ciężaru nie czuje, pracy sobie nie waży, do więcej zawołaną się rozumie niż może, na niebezpieczeństwo się nie skarży, bo czuje, że wszystkiemu podoła, i że wszystko jęj się godzi.

„Miłość czuwa a śpiąc nie zasypia. Spracowana nie bywa zmordowana, zatrwożona nie bywa przerażona, ale jako płomień ognisty i gorejąca pochodnia w górę się wyrывa i bezpiecznie przechodzi!”

Książeczka francuzka, na której widzimy te napisy i liczne zakresłania, była własnością hrabiny. Adam miał ją u siebie, przez cały czas powtórnego w Rzymie pobytu. Z tym to samym *Tomaszem à Kempis* w rękę, jak mówił przyjacielowi, przyszedł od spowiedzi z kościoła, i przez część nocy,—gdy Ewunia śniła o Baranku,—gotował się do stołu Pańskiego!

Tę drogocenną książeczkę mamy w tej chwili przed oczyma.

Od dnia pamiętnego snu, Adam okazywał gorącą pobożność, odwiedzał chętnie kościoły, najczęściej w towarzystwie rodziny S.

Wielokrotnie bywali razem, u św. Stanisława *dei Polachi*, jak nie-
mniej w kościele *ex Bazylianów*, zwanym Najświętszej Panny Żu-
rawickiej. W piątki podczas postu wielkiego, chodził często do
Kolizeum, gdzie stary kapucyn odbywał z ludem drogę krzyżową
przed stacyami, poczem przemawiał do wiernych z małej ambony
naprędce zbudowanej. Głos tego pobożnego kapucyna, brzmiały
w przestrzeni, kędy niegdyś rozlegał się poryk lwów i tygrysów,
głodnych krwi chrześcijańskiej, porywał silnie duszę poety. Opo-
władał wrażenie jakiego doznał, gdy razu jednego, jaskrawy blask
zachodzącego słońca, wciskającego się przez wyłom muru, padł na
spokojne starca oblicze, opromieniając je jakby aureolą świętych.

Kto wie czy ten obraz nie stanął w pamięci wieszeza, kiedy
w nieśmiertelnym poemacie swoim, tworzył cudną postać uniera-
jącego zakonnika, na którą padły jasne promienie zorzy:

I ubrały mu złotem oblicze i skronie,
Ze błyszczał jako święty w ognistej koronie.

Dnia jednego, było to w pierwszy piątek marcowy, przy-
szedł Adam na ulicę Mercede. Nie zastał nikogo w domu. Po-
wiedziano mu, że panie są w kaplicy *Scalla Sancta*. Jest to ka-
plica pomieszczona w osobnym budynku; wiedzie do niej dwadzie-
ścia ośm marmurowych wschodów, sprowadzonych z Jerozolimy
z pałacu Piłata. Wschody przedzielone na trzy części; bokami
można iść w zwyczajny sposób, środkową zaś częścią, zdeptaną
stopami Zbawiciela, garną się pobożni na klęczkach. W kaplicy
na górze, pomieszczony w ołtarzu wizerunek Chrystusa Pana,
zdjęty za życia według tradycji, zwany *Sancta-Sanctorum*.

Posłyszawszy, iż panie są w *Scalla Sancta*, Adam pospieszył
tam co żywo. Odtąd w każdy piątek, do samy Wielkanocy,
czołgał się na klęczkach do ołtarza przez wschody Piłatowe.

Powtórzmy tu jeszcze jedną okoliczność, ważną we wspo-
mnieniach Ewuni; dowiedzieliśmy się o niej w ostatnich poga-
dankach.

W trzy dni po obiorze Ojca Świętego, odbywa się zwykła ce-
remonia w Bazylice świętego Piotra. Papież wniesiony z wielką
uroczystością, zasiada w tym dniu na ołtarzu, na grobie Apostoła;
tam przyjmuje hołdy i pokłony całego kolegium, poczem błogo-
sławi lud stojąc na ołtarzu i obracając się na cztery strony.
Wierni przywiązują wielkie znaczenie do tego pierwszego błogo-
sławieństwa.

Na ową uroczystość pojechał Adam z rodziną S. Z wielką
trudnością znaleźli miejsce na wschodkach pod kopułą, przy figu-
rze świętego Longina. W chwili gdy papież błogosławiąc obe-
cnych, obrócił się ku temu miejscu, Mickiewicz, który stał poniżej,
wpadł żywo na wschodki, pochwycił rękę Ewuni i trzymał ją do-
póki Ojciec Święty, nie odwrócił się w inną stronę. Poczem sze-
pnął do niej półgłosem:

— Najwyższy pasterz kościoła, razem nas pobłogosławił; patrzył się na nas, a więc połączeni jesteśmy!

Ewunia przeraziła się mocno. Odtąd uważała się jakby duchowo zaręczona z Adamem.

Przejdźmy teraz do stosunku hrabiego z naszym wielkim poetą. Słowa, które hrabia wyrzekł w Dreźnie, do czcigodnego przyjaciela Adama, musiały być szczerze, gdyż jak mówi córka, charakter jego był samą prawością i prawdą. Nie umiał on ukrywać żadnych uczuć ani wrażeń, u niego zawsze to było na ustach co i w sercu. Nigdy nie obwijał w bawełnę. Jeżeli w obejściu jego z Mickiewiczem, widzimy często sprzeczność, jeżeli dziś uprzejmy i przyjacielski wnosi sam jego zdrowie u stołu — jak to było w wigilią Bożego Narodzenia 1830 roku — nazajutrz zaś marszczy brwi na jego widok, nie podaje mu ręki przy powitaniu, pochodziło to ztąd jedynie, że i w uczuciach jego była sprzeczność. Jako człowiek wyższego umysłu, oceniał on geniusz Adama, oceniał niemniej prawy jego i nieugięty charakter, i nigdy nie skrzywdził go posądzeniem o interesowaną rachubę. Z drugiej strony sądząc rzeczy z własnego stanowiska, pragnął wydać jedynaczkę, jeżeli nie za magnata równego jej majątkiem, to przynajmniej za ziemskiego obywatela z swych okolic, obznajmionego z miejscowością, któryby umiał zarządzić obszernymi włościami, i przechował bogatą puściznę w domu swoim, nie uroniwszy z niej *ani piędzi ziemi*, jak się często wyrażał hrabia. Z tego to powodu odrzucił wręcz zabiegi dwóch czy trzech cudzoziemców, którzy starali się o Ewunię, lubo to byli — jak mówią — *partye* odpowiednie pod względem majątku i położenia.

Jeżeli hrabia oceniał Mickiewicza jako wielkiego poetę, właśnie ta okoliczność, że był poetą, najwięcej go odstręczała od myśli powierzenia mu losu córki. Nie wierzył on w stałą miłość poetów. Sądził i powtarzał często, że w wiecznej pogoni za ideałem, nie umieją oni zgodzić się z prozą życia, że miłość ich nie wytrzyma próby w małżeństwie. Takie było głębokie przekonanie hrabiego. Przypuszczamy jednak, że gdyby szlachetna ale zbyt uczona duma Adama, nie stanęła tu w poprzecz; gdyby obawa by go nie posądzono o *kłanianie się* magnatowi, nie wstrzymywała go od pokłonu jakiego ojciec miał się prawo domagać, byłby złamał uprzedzenia hrabiego, i otrzymał Ewunię. Przypuszczamy i to, że gdyby zacny przyjaciel i towarzysz podróży był z Adamem w drugim roku pobytu jego w Rzymie, mogłaby rzecz wziąć obrót po-myślniejszy.

Szczerze były, powtarzamy, słowa hrabiego w Dreźnie; mamy na to dowód w podobnych słowach wyrzeczonych przezeń znacznie później do żony i do córki.

Pan Tadeusz wielkie sprawił na nim wrażenie. Czytał go i odczytywał po kilkakróć.

— Pięknie mnie też opisał! co on też ze mnie zrobił! — rzekł razu jednego zasepiony, trzymając w rękę książkę.

— Czemużecie mi o tém nie mówili—dodał—było ze mną szczerze wychodzić.

Wszystko to zupełnie odpowiada domysłom czcigodnego pana Edwarda.

Co do Zygmunta, Ewunia przyznaje, że mogła się pomylić mówiąc o czasie kiedy go po raz pierwszy widziała. Zygmunt był wtedy jeszcze bardzo młody, mimo, że go już zwano w Genewie *l'Enfant Sublime*, postać jego gasła przy Adamie, w oczach wszystkich, a tém bardziej w oczach Ewuni. Nie był to jeszcze Zygmunt późniejszych czasów! Zresztą, tyle lat potem przetrwała ich przyjaźń, że pierwsza chwila poznania zatarła się w pamięci. Każdy z nas jeśli napotkał w życiu bratnią duszę, mniema, że ją znał odkąd sam siebie zapamięta.

Dotąd składaliśmy broń przed zapaśnikiem naszym, we wszystkich zarzutach, jeśli można je nazwać zarzutami, przyznaliśmy mu słuszność; teraz jednak trzymamy silnie oręż, gotowi nie ustąpić do ostatka. Tu już nie idzie o ten lub ów fakt, lecz idzie o zasadę. Zresztą czujemy się wyzwani osobiście, gdyż domysł, że Adam ubierał się starannie, dla przypodobania się Ewuni, że kazał wyrzyć kniaziowski herb na zegarku, dla pokazania hrabiemu, iż Poray wart Habdanka, domysł ten powtarzamy, zupełną jest naszą własnością. Ewunia przytoczyła fakta, będące według przeciwnika naszego *najzupełniejszą prawdą*; my wyprowadziliśmy wnioski, które są *nieprawdą największą*.

A czyżby to przyćmiło jeden promyk z aureoli wieszczki naszego, gdyby starał się przypodobać *nawet ubiorem* tej, którą ukochało jego serce? gdyby chciał ukłóć dumę magnata stawiając mitrę obok hrabiowskiej korony? Chociażby to kto ośmielił się nazwać słabostką, toć owe małeńkie słabostki wielkich, zbliżając ich do tłumu śmiertelników, czynią ich tém droższymi, bo ukazują w nich ludzi, a nie półbogów. Czasy klasycyzmu przemieniły, trzebaż mówić o tém autorowi tylu cudnych romantycznych perełek! czyżby nasz zacny przeciwnik zerwawszy w poezyi ze szkolarską rutyną, chciał w przyjaźni pozostać klasykiem i to nie prześląganym? Gdybyśmy i my trzymali się tej zasady, gdybyśmy chcieli widzieć w Ewuni klasyczną doskonałość, gotowibyśmy protestować, że i ona nie należała do rzędu tych *wszystkich na świecie panienek, które wszystko w wielbicielach swoich odnoszą wyłącznie do siebie*. Już to samo, że zwróciła uwagę takiego człowieka jak Adam, wyłącza ją z śród tłumu.

Pozostaje nam wreszcie wytłumaczyć się z pomyłek w szczegółach dotyczących małżeństwa Adama. Oczogodny przyjaciel jego objaśnia nas, że nie pan Malewski ale pan Morawski nasunął pierwszy Adamowi myśl poślubienia panny Celiny; Ewunia zgadza się na to: łatwo mogła wziąć pana Morawskiego za pana Malewskiego, gdyż ani jednego ani drugiego osobiście nie знаła, nazwiska zaś dosyć do siebie zbliżone. O ściślejszej przyjaźni pana Malewskiego z Adamem, dowiedziała się dopiero z listu szanownego

pana Odyńca drukowanego w Kronice; zresztą nic to nie ma do rzeczy, kiedy p. Malewski nie był w Paryżu i nie widział wcale Adama.

Co zaś do przyczyn wyjazdu panny Szymanowskiej do Paryża, tu Ewunia szła za głosem powszechnym i myliła się razem z drugimi. Łatwo było się mylić, gdy tyle pozorów usprawiedliwiała tę pomyłkę. Czyż nie czytamy w wyjaśnieniu szanownego p. Odyńca, iż *rzeczywiście* p. Morawski wspomniał o tém małżeństwie Adamowi, iż Adam *rzeczywiście* odpowiedział: Ha! kto wie? i że *rzeczywiście* słowa te p. Morawski powtórzył państwu Malewskim w Petersburgu, że ci naostatek *rzeczywiście* uwiadomili o tém pannę Celinę w Warszawie. Z pomiędzy tylu wtajemniczonych osób, mógł ktoś łatwo wyszepnąć słówko, a to przebiegając z ust do ust, dało powód owemu *vox populi*, który przypisywał pannie Celinie zamiary jakich wcale nie miała. Naostatek samo małżeństwo zawarte w bardzo krótkim czasie po wyjeździe panny S. do Paryża, usprawiedliwiała te domysły.

Podobne domysły miałyżby w sobie coś ubliżającego dla pamięci zmarłej żony Adama? Położenie było wyjątkowe, stąd też i małżeństwa zawiązywały się w sposób wyjątkowy. Że pominiemy wiele innych, powiemy tu tylko o małżeństwie Bogdana Zaleskiego. Młodziuchna Zofia Rozengartówna, wychowana w Warszawie, nie знаła wcale śpiewaka ukraińskiego, ale znała uroczę jego dumki, i tak się zachwyciała ich cudną harmonią, że powtarzała je zwykle na kolanach jakby modlitwę. Przyszedszy do lat, w których miała prawo rozrządzać sobą, Zofia wyjechała do Paryża, dla kształcenia się w muzyce, ale niemniej jak brzmiał *vox populi*, dla poznania poety, którego pieśni tak ją czarowały. W Paryżu spełniły się jej pragnienia: poznała Bogdana, została jego żoną, i przeżyła z nim lat dwadzieścia w niezmaconej zgodzie i miłości. A któżby patrząc na wzorowe ich pożycie, śmiał rzucić jakiszkolwiek cień, na wyjątkowy sposób w jaki się małżeństwo zawiązało?

Opinia powszechna była w błędzie przypisując podobne zamiary pannie Szymanowskiej. Nikt przecież nie potępiał tych zamiarów, przeciwnie nawet, uszanowano w nich poświęcenie godne tego, kto był jego celem. Bo nie jestże ofiarą, oderwanie się od kraju, od rodziny, od wszystkiego co było drogiem, do czego dusza przyrosła od młodu?

Ewunia dzieliła błąd powszechny. Słabą wówczas przywiezli rodzice do Krakowa. Dnia jednego—było to w maju—niejaka pani Mickiewiczowa, spowinowacona przez męża z Adamem, przyszła do domu państwa S., z którymi znała się od dawna, i powtórzyła wieść krążącą po Krakowie, o wyjeździe do Paryża i zamiarach panny Celiny. Dziś Ewunia sięgnąwszy głęboko pamięcią, w przeszłość, przypomina sobie, że nie na Kraków, lecz na Wrocław i Drezno wypadała ta podróż. Wiele przecież mówiono o tém w Krakowie, bo i kogóż nie zajmował los Mickiewicza?

ztałd to Ewuni po latach tylu, mogło się zdawać, że panna Celina przejeżdżała przez Kraków.

Słówek jeszcze co do wieku panny Celiny. Powiedzieliśmy że Adam zostawił ją *prawie dzieckiem* w Petersburgu. Był to nasz domysł, oparty z jednej strony na słowach p. Lucyana Siemieńskiego, a co więcej potwierdzony listem czcigodnego p. Odyńca drukowanym w *Kronice*. Panienska, która pozwala sobie uporowi i grymasików, która płacze gdy z własnej woli nie poszła na teatr, którą sam Adam napomina dość ostro, mogła mieć lat siedemnastu, mogła być przesłizną, niemniej jednak w oczach naszych, przedstawiała się *prawie dzieckiem*.

Kończymy tu odpowiedzi nasze na uwagi przeznaczonego przyjaciela Adama. Przyjaźń ta jakże drogą nam wszystkim, jakże ją umiemy ocenić. Prosimy go usilnie aby dawał nam co najwięcej, choćby najdrobniejszych szczegółów z życia tego olbrzyma; nie ma bowiem drobnostek, gdy odnoszą się do tak wielkiej osobistości jak Mickiewicz, i kiedy mówi o nich sam Odyniec.

Jakież to wrażenie sprawiła w Wiedniu i w całym świecie niemieckim jedna tylko wzmianka o pobycie dwóch poetów polskich w Wejmarze u Goetego! Mąż wielkich zasług i wielkiego geniuszu odradza się i odradza społeczeństwo, z którego wyszedł, kiedy to społeczeństwo kocha go serdeczną miłością i bada jego życie, tak w wielkich chwilach natchnienia, jak i w najmniejszych drobnostkach. Zresztą jakże względnie pojęcie drobnostki! Ów na przykład sen młodej panienski o Baranku, nie jest dla wielu drobnostką, tymczasem ten szczegół odkrywa nam najsilniejszą dźwignię, jaka wstrząsnęła kiedykolwiek życiem naszego wie-

